WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 19. Kraków, dnia 18. listopada. 1900.

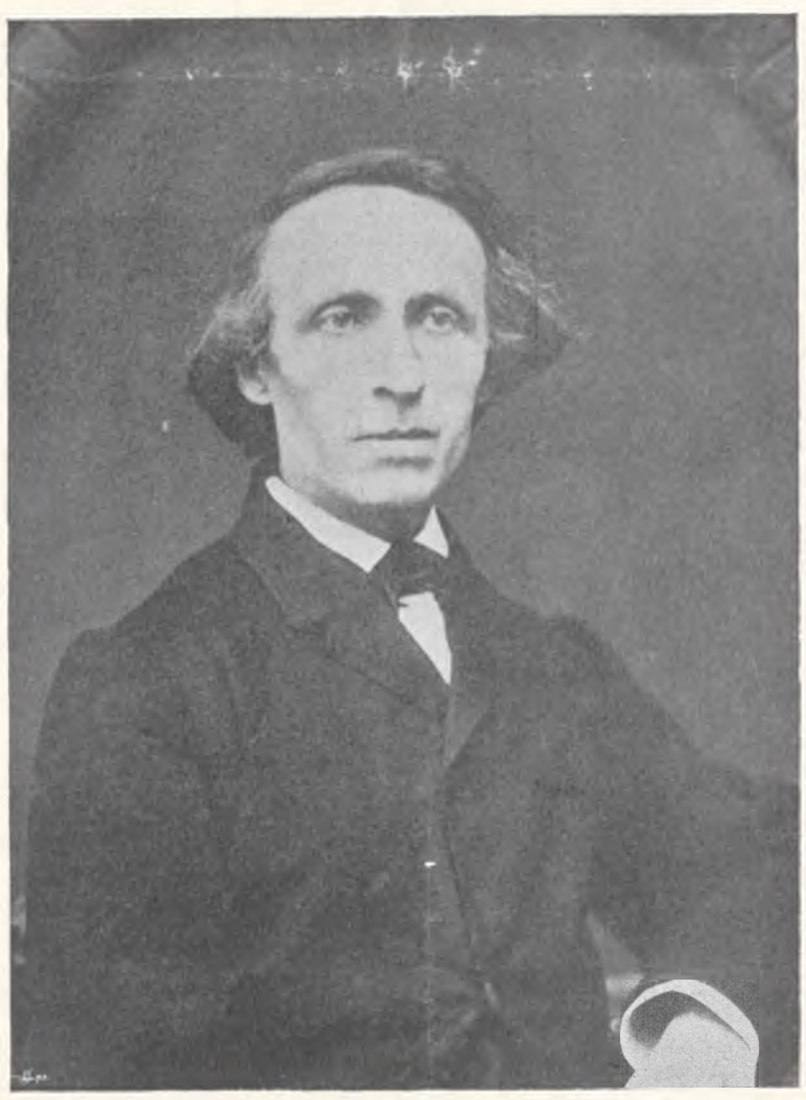
JULIAN BARTOSZEWICZ.

Pisma warszawskie przypomniały i uczciły artykułami trzydziestą rocznicę zgonu Juliana Bartoszewicza. Od spełnienia obowiązku względem pamięci jednego z najzacniejszych patryotów i najznakomitszych naszych historyków i nam się uchylać nie wolno. Rozpoczynamy więc dziś druk jego życiorysu, napisanego przez jednego ze znanych uczonych warszawskich, który pod osłoną bezimienności mógł przedstawić te epizody z życia Bartoszewicza i te strony jego charakteru, o których w Warszawie pisać nie wolno.

Rodzina Bartoszewiczów rozsiadła się zdawna szeroko po Litwie. W w. XV. i XVI. należała do magnackich. Historyczną postacią jest Stanisław Bartoszewicz, wojawoda brański, który przez dziewięć lat (1499—1508) siedział w niewoli moskiewskiej (Piszą o nim Stryjkowski i Tomiciana). Wnuczka jego, po Hlebowiczowej, wojewodzinie wileńskiej i kanclerzowej litewskiej, wyszedłszy za Michała Sapiehę, wniosła mu majątek macierzysty. Majątek ten, (którego część, Jatwiesk, otrzymała na pamiątkę pochodzenia nową nazwę: Bartoszewicze), stał się jedną z głównych podstaw potęgi domu Sapiehów na Litwie (Sapiehowie tom I. str. 57, 140, 143). Później spotykamy Bartoszewiczów w kancelaryach królewskich, po urzędach szlacheckich. Pełno ich na zjazdach i sejmikach za Wazów i Sasów, ale widocznie już zbiednieli, bo dygnitarstw nie mają. Jeden był posłem sejmowym za Jana III, Stanisław, partyzant Leszczyńskiego, więzień w Sonnensteinie, walczył potem pod Maurycym Saskim i przeciw Prusom po stronie Austryi (pisze o nim Kitowicz jako o słynnym pułkowniku). W konfederacyi barskiej służyło co najmniej sześciu Bartoszewiczów, bo tylu dostało się do niewoli moskiewskiej. (Kraushar. Konfederaci Barscy na Syberyi — spis imienny, Kraków 1895). Antoni Bartoszewicz jezuita, był głośnym mowcą za Augusta III. (kazania jego wyszły w Wilnie w r. 1759).

Adam Bartoszewicz urodzony 8. października 1792 r. (ojciec Juliana), ukończył uniwersytet wileński wówczas całym blaskiem nauki jaśniejący. Pozyskawszy w r. 1815 stopień magistra filozofii przybył do Warszawy i mianowany w roku następnym kollaboratorem, a potem profesorem szkoły wydziałowej w Biały Radziwiłłowskiej. Wykładał tu matematykę i język polski — tu jego uczniem był J. I. Kraszewski, który w pamiętniku swoim wspominał o nim z wdzięcznością, jako o tym, co poza szkołą ułatwiał mu zapoznanie się z literaturą. Tutaj także 1822 r. drukował w programacie szkoły bialskiej rzecz o matematyce. W późniejszych latach był inspektorem szkoły w Łukowie i z ramienia rządu Królestwa Kongresowego marszałkiem sejmików pow. bialskiego i łukowskiego przed r. 1831. Wreszcie za staraniem Lindego przeniesiony na inspektora szkół do Warszawy, uzyskał emeryturę w r. 1851. Zbierał przysłowia, przypowieści i zdania moralne i obszerne z nich potem ogłaszał wyciągi w pismach różnych i kalendarzach warszawskich; przygotował także do druku słownik Knapskiego ze szczególnym względem na polszczyznę. Był także współpracownikiem Encyklopedyi Orgelbranda, Tygodnika Illustrowanego i t. d. Zmarł w r. 1878.

Julian, syn jego pierworodny, z Amelii Sengtellerównej córki kasyera generalnego Izby nad oświeceniem czuwającej, przyszedł na świat 17. stycznia 1821 r. w Białej, w dawnem wojew. Brzesko-Litewskim a wówczas Podlaskiem. Mając lat 5, umiał już czytać i pisał wierszowane bajki. R. 1829 chodził do 1-szej klasy szkół bialskich, a w r. 1830 do 2-giej — lecz w grudniu tego roku nauki zostały przerwane, bo profesorowie wstąpili do wojska. Rok 1831 był jednym z najmilszych dziecinnych, ale zarazem i najsmutniejszych wspomnień Bartoszewicza. Widział przechodzące przez rodzinne miasto zwycięskie wojsko polskie, którego już potem nigdy nie miał zobaczyć. W r. 1838 ukończył chwalebnie w gimnazyum warszawskiem przy ulicy Leszno ósmą klasę na oddziale filologicznym. Tegoż roku opuścił Warszawę udając się na uniwersytet do Petersburga, gdzie przebywał w nim lat cztery t. j. do r. 1842, w którym ukończył wydział historyczno filologiczny.



Julian Bartoszewicz.

Te cztery lata były jednym ciągiem zadziwiającej pracy młodego studenta, która już wtedy zwątliła jego siły fizyczne. W olbrzymiej bibliotece Załuskich znalazł on niewyczerpane skarby dziejów ojczystych, co tchnęło w duszę młodzieńca gorączkowe do nich zamiłowanie. Im silniej bolał nad bogactwami narodu po barbarzyńsku wywiezionemi z kraju, tem mozolniejsze robił w nich studya. Całe dnie przesiadywał w bibliotece, a zapomniawszy często o obiedzie, do późnej nocy czytał, odszukiwał i potężne gromadził wypisy z dzieł i rękopisów tak polskich jak i moskiewskich, których najbogatszy zbiór z rozkazu Mikołaja zgromadzono w Petersburgu. Jeden Bartoszewicz poszczycić się nie mógł, że z rzeczy moskiewskich przejrzał wszystko co tam było i lepiej poznał historyą tego narodu od wielu Moskali. Było mu to potrzebnem do stosunków Moskwy z Polską, nad którymi później specyalnie pracował. Zwykle milczący, smutny, w pracy zatopiony, gdy się znalazł w gronie młodzieży i wśród zdań ścierających się nawzajem, mówił wiele i gorąco, zamglone oko jego nabierało niezwykłego blasku, a wymowa acz niepłynna, nabierała dziwnej siły i serdeczności. Przekonywał wtedy najzaciętszych przeciwników, wypowiadając każde zdanie swoje z odwagą i gotów bronić go do upadłego. Dziwić się wtedy przychodziło, skąd w tak wątłem ciele i w tak cichym młodzieńcu znajduje się tyle ognistego życia i żelaznego, niczem nie złamanego hartu ducha. Był to typ i charakter Bartoszewicza, który do zgonu zachował. Na młodzież koleżeńską pomimo, że był z niej najmłodszy, wywierał wielki wpływ przykładem gorliwej pracy, moralnością życia, patryotycznemi przekonaniami i działalnością swoją. Założył sam studencką bibliotekę polską, utrzymywaną wspólnemi składkami kolegów. Razem z Janem Barszczewskim z Białejrusi (późniejszym autorem 4-tomowego dzieła: „Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach“) i kilkoma innymi kolegami, założył Bartoszewicz noworocznik *Niezabudkę*, który pod imieniem tegoż Barszczewskiego wydawany przez młodzież polską, lat kilka wychodził w Petersburgu. W Niezabudce ukazały się pierwsze prace Bartoszewicza.

Roku 1842, po powrocie do kraju mianowany został nauczycielem języka łacińskiego w gimnazyum gubernialnem warszawskiem. Jednocześnie Świderski dyrektor Instytutu pedagogicznego, prosił go o wykłady języka słowiańskiego i historyi rosyjskiej. Odmówił, bo „nie mnie takich przedmiotów uczyć“ — pisał w swym dzienniku. Pomimo zamiłowania do historyi ojczystej i nieustannych nad nią studyów, próbował przedewszystkiem sił swoich na polu literatury pięknej. Tłomaczył wierszem białym najcelniejsze utwory dramatyczne francuskie, włoskie i niemieckie. Pisał powiastki historyczne, nad któremi unosił się Wójcicki. Największy ówczesny krytyk Tyszyński zachęcał go, aby oddał się całkiem literaturze pięknej; — tej samej zachęty użyczali mu Zmorski, Edward Dembowski, Włodzimierz Wolski i Lenartowicz, z którym serdeczne zawiązał stosunki. Ale urok historyi był silniejszy. W r. 1845 z ogromną radością dowiedział się, że polecono w gimnazyach zaprowadzenie nauki historyi polskiej. Wprawdzie mieli ją wykładać nauczyciele historyi Rosyi, Moskale, ale w gimnazyum gubernialnem były klasy podzielone, więc Moskal Miedwiediew nie miał możności objęcia nowego przedmiotu. Skorzystał zatem Bartoszewicz ze znajomości z wizytatorem Hlebowiczem, aby go prosić o wyjednanie mu tych wykładów. „Ceniliby mnie (pisał w pamiętniku) uczniowie, rodzice, nauczyciele. Bo jabym mówił dużo o przeszłości Polski, jabym zainteresował — ja dobrze rozumiem co to za dzieje, że to obraz namiętności ludów, powieść o ich życiu urocza, miła, tęskliwa!“ Skończyło się na nadziejach.

W czerwcu 1846 po rzezi galicyjskiej, rząd nauczony przykładem sąsiadów, jak ciemnota w narodzie może się stać przydatnem jego narzędziem, znosi oddzielnym ukazem ośmioklasowe gimnazya w Warszawie i przez lat pięć lub sześć pozostawia tylko same szkoły powiatowe o 4 klasach. Zdarzyło się, że do dawnego gimnazyum gubernialnego, gdzie Bartoszewicz był nauczycielem, oddaje swego syna Pawliszczew, profesor historyi Rosyi a późniejszy dyrektor prasy peryodycznej warszawskiej, członek Rady wychowania, literat i polityk zawołany. Pawliszczew wyrabia natychmiast nakaz od kuratora Okuniewa, żeby wszyscy nauczyciele, którzy byli na uniwersytetach

rosyjskich, wykładali w szkołach po moskiewsku. Było wprawdzie dawniejsze podobne rozporządzenie ministra oświecenia z Petersburga, lecz z warunkiem, żeby na tem wykłady nie cierpiały. W całem Królestwie znalazło się zaledwie kilku małodusznych, którzy posłuchali rozkazu, wszyscy zaś inni wykładali dalej po polsku, tłomacząc się, że inaczej cierpiałyby wykłady w obcym dla młodzieży języku. Pawliszczew chciał, aby syn jego (późniejszy redaktor „Dniewnika Warszawskiego“, wypędzony następnie przez władzę za złodziejstwa), słuchał wszystkich wykładów w języku rosyjskim, surowo więc zabronił nauczycielom stosować się do rozporządzenia ministra, ale tylko do nakazu kuratora. Oprócz tego u kuratora wyjednał sobie nad gimnazyum, do którego syn jego chodził, prawo wyłącznej opieki, która nauczycielom tej szkoły dała się we znaki, a szczególniej Bartoszewiczowi. Gdy np. Bartoszewicz wykładał historyę powszechną po polsku, młody Pawliszczew, któremu wszystko było wolno, nauczony przez swego ojca wołał w klasie „nie ponimaju“ (nie rozumiem) — „to się ucz“, odpowiadał mu nauczyciel. Stary Pawliszczew rzucał się kilka razy na Bartoszewicza wobec uczniów, a raz nawet na publicznym popisie wobec władzy i publiczności, pierwej niż uczniów chciał egzaminować profesora czy umie termina naukowe rosyjskie. Bolało to straszliwie zacnego nauczyciela, ale dla kawałka chleba i w zrozumieniu ważności stanowiska, jakie zajmował, nie mógł porzucić go dla dobra młodzieży, więc też cierpliwie znosił coraz cięższe prześladowania, które wywarły wielki wpływ na jego organizm nerwowy, i w łagodnym z natury charakterze wyrobiły z latami pewną cierpkość i drażliwość, poczytywaną potem przez wielu nieznających szlachetnej duszy Juliana, za nadmiar żółci autorskiej.

W r. 1847 wydrukował Bartoszewicz w Bibliotece warszawskiej bardzo ważną rozprawę o sześciu arkuszach druku: „Helena Iwanówna żona Aleksandra Jagiellończyka“. Pomimo pozwolenia cenzury, zaraz po wyjściu skonfiskowano cały nakład i spalono. Pawliszczew z Okuniewem osądzili, iż prace takie jak powyższa, choć jawnie rządu nie obrażają, ale są dlań w gruncie wielce szkodliwemi, gdy odkrywają przed narodem to, o czem on wiedzieć ani słyszeć nie powinien. Każdy więc autor takich rzeczy jest niebezpieczny dla rządu i aby więcej ich nie pisał, zasługuje co najmniej na dymisyę. Szczęściem po staraniach osób wpływowych skończyło się tylko na pogróżkach, natomiast zadecydował kurator generał Okuniew, aby Bartoszewicza przenieść z Warszawy w jaki najzapadlejszy kąt Królestwa i zabronić mu zupełnie pisania rzeczy historycznych. W sierpniu tegoż roku wysłany został Bartoszewicz do szkoły powiatowej w Końskich (pow. Opoczyński) z pensyą do połowy zmniejszoną, a cenzura przez całe dwa lata jego pobytu tamże, nie pozwalała mu drukować żadnych prac w pismach krajowych.

Mówią starzy że „niema tego złego coby na dobre nie wyszło“. Przez wypędzenie z Warszawy chciano najbardziej dokuczyć Bartoszewiczowi. Prawda że brak bibliotek w lichej mieścinie, oddalenie od ogniska literackiego i niemożność drukowania, mogła do rozpaczy przyprowadzić młodego historyka. Stało się jednak inaczej. Bartoszewicz w domu Małachowskich, dziedziców Końskich, i w okolicy znalazł dosyć papierów historycznych, którychby nie miał w Warszawie, był więc w swoim żywiole. Zwiedzał i opisywał okoliczne miasteczka (np. Sulejów), pamiątki i kościoły np. koneckie, wielkowolskie. Jeden z kolegów Dylewski, nauczyciel rysunków, rysował mu pomniki i świątynie. Przetłomaczył tutaj dzieło Bizardiera, napisał zabronione potem przez cenzurę „Pogląd na dzieje Polski“, życiorys kardynała Fryderyka, powiastkę historyczną „Księżniczka Teresa“ i t. d. Wreszcie poznał tu pannę Zapałowską, córkę obywatela wiejskiego z okolicy, Jana Zapałowskiego, (kapitana z 2go pułku piechoty liniowej dawnych wojsk polskich), dzielnego polskiego wiarusa, ozdobionego w r. 1831 złotym krzyżem virtuti militari i Róży z Gebhardtów. Panna Kazimiera, zaślubiona mu potem, słodziła anielską swoją dobrocią wszystkie smutki i utrapienia, jako wierna towarzyszka do zgonu.

C. d. n.

NA LUTNI.

Na lutni z pereł, rubinów, korali,
Zadzierzgam struny, brzmiące dawnem
Twarz się rozżarza i oko się pali, [echem;
Pierś się podnosi wieczornym oddechem
I łzy się cisną ciche, kryształowe —
A z niemi smutki i cierpienia nowe.

Na lutni z pereł, rubinów, korali,
W jęk strun drgających wplatam własną
Każda z nich płacze i każda się żali, [duszę;
Męki stokrotnej odnawia katusze...
I w tem cierpieniu rozkosze znajduję,
I czuję życie — bo cierpieniem czuję!

Na lutni z pereł, rubinów, korali,
Pieśń rozszalała boleścią się snuje;
I skarga płynie w cichej tonów fali,
A boleść głębiej i głębiej nurtuje.
Życie mi płynie bezświetliste, szare,
Na łup cierpieniom i łzom na ofiarę.

Duchem ku niebu, a ku ziemi łzami
Przykuty, spełniam truciznową czarę;
Już się rajskimi nie cieszę świtami,
Bo wszędzie widzę bladą cierpień marę.
Życie stargane szczerzy się w oddali
I płacze lutnia z pereł i korali.

Michał Magiera.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa

(Ciąg dalszy.)

VII.

Odprowadziwszy przyjaciela Andrzej Efimycz siada przy stole i znowu czyta. W około cisza wieczorna nie zmącona najmniejszym odgłosem i wydaje się, że po za książką i lampą osłoniętą zielonym abażurem nie istnieje nic. Ordynarna chłopska twarz doktora opromienia się uśmiechem zadowolenia lub zaciekawienia przed potęgą ludzkiego rozumu. „O, czemu człowiek nie jest nieśmiertelny?“, myśli, do czego mózgowe komórki, do czego wzrok, postać, samo-poczucie, geniusz, jeśli wszystko to musi ginąć z człowiekiem i koniec końców, zmieszać się z ziemią, a potem miliony lat bez czucia i bez celu kręcić się z kulą ziemską do okoła słońca? Dla tego żeby przestać żyć i kręcić się z ziemią, zupełnie nie potrzeba z niebytu tworzyć człowieka, z jego wysokim, prawie boskim rozumem, a potem jakby na śmiech, zamienić w glinę.

Przemiana rzeczy... Co za dziecińswo pocieszać siebie ideą nieśmiertelności! Nieuchwytne procesy znajdujące się w przyrodzie, niższe od ludzkiej głupoty, bo w tej głupocie jest w każdym razie pewne pojęcie i wola, a w procesach przyrody i tego niema. A jeszcze mówią mu: uspokój się, twoje jestestwo zgnile w ziemi, da życie innym organizmom, to jest innymi słowami: ty będziesz niżej od wszelkiej głupoty. Tylko tchórz, u którego więcej strachu przed śmiercią, niż powagi, może pocieszać siebie tem, że ciało jego z czasem żyć będzie w trawie, w kamieniu, w żabie... Zobaczyć swoją nieśmiertelność w odmianie przedmiotów, jest tak dziwnem, jak przepowiedzieć błyszczącą przyszłość futerałowi, z którego kosztowne skrzypce wyjęto i potłuczono.

Kiedy godzina uderza, Andrzej Efimycz opiera się o poręcz krzesła, zamyka oczy i medytuje. Pod wpływem wyczytanych głębokich sentencyj, cofa się myślą w przeszłość. Teraźniejszość — taka sama jak przeszłość. Dobrze rozumie to, że w tej chwili, gdy jego myśl na globie ziemi razem z mieszkaniem doktorskiem kręci się dookoła słońca, w dużym korpusie [illegible] wiją się ludzie w bólach i fizycznym brudzie; może być, że ktoś w tej chwili jęczy, przebudzi się i walczy z owadami, inny w tej chwili zaraża się lub stęka z powodu źle związanego bandażu, a może być także, że chorzy grają w karty z posługaczkami lub piją wódkę. W przeciągu roku oszukali 12000 ludzi, cały bowiem gmach szpitalny teraz, jak i 20 lat poprzednich egzystował i egzystuje ze złodziejstwa, oszukaństwa, wyzyskiwania, albowiem ten szpital, jakim był, jest i obecnie w najwyższym stopniu wstrętnem miejscem dla zdrowia mieszkańców. Dobrze wie, że w oddziale pod Nr. 6 Nikita bez pozwolenia bije chorych, a żyd Mosiek codziennie chodzi po mieście zbierając jałmużnę.

Z drugiej strony wie także, że przez 20 lat medycyna o wiele postąpiła. Jak był w uniwersytecie zdawało mu się, że medycynę pobije alchemia i metafizyka, teraz gdy ją jednak studyuje, to można powiedzieć, że przeraża się i dziwi jej potędze. W samej rzeczy co za olbrzymi postęp, jaka rewolucya! Dzięki chirurgii, robią obecnie operacye, o jakich wielki Pirogow mówił, że są niemożebne, nawet in spe. Zwyczajni lekarze podejmują się takiej operacyi, jak wycinanie stawów w kolanie, a na sto operacyj przy ciężkim porodzie, jeden tylko śmiertelny wypadek się zdarza; kamienie wątroby lub żółciowe dolegliwości uważane są za głupstwo, o którem nie warto wspominać. Teorya dziedziczności, hipnotyzm, sposoby Pasteura i Kocha, statystyczna hygiena w porównaniu z naszą rosyjską medycyną psychopatia z jej obecną klasyfikacyą chorób, metoda rozpoznawania i leczenia, to w porównaniu tego, co było — szczyt Elborusa do płaszczyzny. Obecnie waryatom nie leją na głowę zimnej wody i nie ubierają we wrzące koszule, — teraz ich traktują po ludzku i, jak piszą w gazetach, dają dla nich specyalne bale, koncerty i spektakle. Andrzej Efimycz wie, że przy obecnych wymaganiach i smaku taka nędza, jaka jest w oddziale pod Nr. 6, możebna tylko w mieście, oddalonem o 200 wiorst od kolei, gdzie głowa miasta i

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

— Być może... Obchodzi to tych, którzy grają...

— Ależ w Monte-Carlo grają bez wyjątku wszyscy... — zawołała starsza z kobiet, piękna brunetka o wschodnim typie...

— W takim razie ja będę stanowił ten wyjątek, bo jadę do Monte-Carlo nie po to, aby grać.

Starszy jegomość poprawił czapeczkę podróżną, westchnął z uśmiechem i zawołał z powątpiewaniem: „No! no!;“ wszyscy poczęli się śmiać. Wspólny śmiech wywołał pewne zbliżenie. Młodzieniec i starszy jegomość mimowolnym równoczesnym popędem zbliżyli się ku sobie dłonie, by się przedstawić.

— Jestem Ludwik książe Czarotyński — rzekł młodzieniec.

Twarz starszego jegomościa przybrała nagle chłodny wyraz a usta wydęły mu się pół pogardliwem skrzywieniem. Trwało to tylko jedną krótką sekundę, bo zresztą z równą jak przedtem uprzejmością wymienił z kolei swoje nazwisko:

— Hrabia Arnim von Besthoff. Pozwoli pan, że przedstawię pana także mojej małżonce — tu wskazał na młodszą z dam — oraz jej siostrze pani baronowej Grünschild.

Słysząc te nazwiska młodzieniec, nie mógł ukryć pewnego zdziwienia. Znać było, że imiona te obijały mu się o uszy i nie były mu obce. Nazwisko Grünschildów miało zresztą światową sławę.

Po przedstawieniu się rozmowa przybrała inny charakter. Baronowa Grünschild zapytała młodego księcia, dlaczego informował się o hotele, a w pytaniu tem tkwił jakby wyrzut, że mimo książęcego tytułu dba tak po mieszczańsku o drobne różnice w cenach pokojów. Zrozumiał to Czarotyński i wyjaśnił odrazu z uśmiechem, że nie o cenę mu szło.

— Powód moich zapytań — rzekł — był zgoła inny. Prawie się wstydzę przyznać się wobec pań; poprostu przez całą drogę trapiła mnie myśl, jak będę mieszkał w Monte Carlo bo po tem wszystkiem, co słyszałem i czytałem, nie mogę odpędzić od siebie myśli, że tam w każdem hotelowem łóżku — leżał już trup samobójcy!

Książe Czarotyński opowiadał, jak w jego wyobraźni przedstawia mu się Monte-Carlo W każdym ciemnym kącie ludzie z przestrzeloną piersią; na każdej gałęzi wisielcy, któremi wiatr chwieje; na wszystkich drogach ślady krwi po tych, którzy w walce ze śmiercią wlekli się ku najbliższym krzewom egzotycznych dziwnych roślin; codziennie w restauracyi spada ktoś z krzesła z sinemi śladami trucizny na twarzy; na każdej skale rysuje się sylwetka zmęczonego życiem człowieka rzucającego się w przepaść, tor kolejowy pełen jest ciał bez głów i głów bez kadłubów, a na bladych zaciśniętych wargach znać ostatni kurcz przekleństwa rzuconego na dom gry; nawet to przepyszne, błękitne, cicho pieniące się morze wyrzuca co chwila na ląd topielców a w kieszeniach ich ubrań znajdują się listy z wyrazami: „Najdrożsi, przebaczcie mi, przegrałem wszystko! Bądź przeklętem Monte Carlo! Boże, bądź mi miłościw!“

— Ładne masz pan wyobrażenie o Monaco! — rozśmiała się pani Arnim-Besthoff... Przecież to jest najpiękniejszy zakątek ziemi na całym świecie...

— O zapewne — odpart Czarotyński — gdyby nie było domu gry i graczów.

— Nie, panie — odrzekła baronowa Grünschild — gdyby nie było domu gry, nie byłoby ani pełnych czaru ogrodów, ani palmowych alei, ani koncertów, ani opery, ani pierwszorzędnych restauracyj. Byłyby tu nagie i łyse skały, pasterze w łachmanach paśliby stado kóz, tak jak niegdyś, gdy okolice te nazywano skromnie „Les Spelugues“ a nie tak dumnie jak dzisiaj, Monte Carlo! Zresztą z samobójstwami nie jest tak źle, jak pan myślisz. Po większej części ta legenda opiera się na bajkach. Zresztą w każdym razie nie mówi się o nich nic w „Monte Carlo“ a wrażenie jest ostatecznie wszystkiem na świecie...

Na jakiś czas rozmowa się przerwała, wszyscy spoglądali na zwierciadło morza, pełne oślepiającego blasku, nad którego brzegiem pociąg ciągle przesuwał się w niepowstrzymanym pędzie. Od czasu do czasu ukazywał się mały przylądek z szaremi skałami i ciemnozieloną niską roślinnością. Pociąg wgłębiał się w wąwozy lub tunele, a za każdym razem, gdy się z nich wynurzał zmieniał się krajobraz: ukazywała się już to miejscowość z biało świecącemi dachami i czerwonemi domami, która nakształt skamieniałego wodospadu zajmowała stok góry aż ku miniaturowemu portowi, w którym chwiał się jeden statek i para łodzi rybackich albo też wąski pas lądu, na którym każdy metr ziemi wyzyskany został pod uprawę lub pod hodowlę kwiatów i jarzyn...

Książe Czarotyński odrywając oczy od pięknych widnokręgów przypatrywał się uważnie swoim towarzyszom podróży. Interesowali go oni bliżej, niż się sami mogli domyśleć.

Kilka lat temu, kiedy po skończeniu studyów uniwersyteckich, pracował przez pewien czas na życzenie rodziny w biurze ministerstwa spraw wewnętrznych w Wiedniu, jeden z jego dalszych znajomych, młody Opowski, wprowadził go do salonu panny Müller-Gwiazdek. Panna, zarówno jak jej ojciec wydali mu się w pierwszej chwili mocno podejrzani, mimo zapewnień Opowskiego, że dom rekomenduje się jaknajlepiej. Powoli jednak książe Czarotyński uległ czarowi pięknej Janiny; podejrzenia pierzchły, a serce poszło w niewolę czarodziejki. O cichym romansie, jaki się zawiązał pomiędzy Czarotyńskim a Janiną jeszcze podczas fajwokloku u baronowej Lopeticz — nie wiedział nikt, najmniej Opowski. Otrzymawszy w pamiętnym dniu pożegnalny list od panny Gwiazdek, daremnie też Opowski szukał myślą tego jednego, na którym według słów listu, Janina uczyniła głębsze wrażenie i po którym spodziewała się módz się ukazać niebawem „z innem nazwiskiem i w innej skórze“.

Jeżeli Opowski nie mógł się domyśleć tajnego związku pomiędzy Czarotyńskim a Janiną, tem bardziej władze nie mogły żadną miarą wpaść na przypuszczenie, że pomiędzy nagłą dymisyą i wyjazdem jakiegoś koncypienta w ministerstwie, a wymknięciem się dwojga niebezpiecznych ptaszków z biur „Unjonbanków“ istnieje jakiś związek. A jednak tak było rzeczywiście. Finländerowa jechała prosto przez Berlin do Hamburga a ztamtąd do Nowego Yorku jako księżna Czarotyńska z połową pieniędzy podniesionych w „Unjonbanku“. W drugim wagonie, z drugim półmiljonem jechał Gottlieb Müller wyznaczając sobie za cel podróży tylko Berlin, gdzie już czuł się dostatecznie bezpiecznym. O niezrozumiały testament Simchy Bukszpana nikt z obojga się nie troszczył. (C. d. n.)

wszyscy, nie zawsze piśmienni mieszczanie, widzą w lekarzu wyrocznię, której trzeba zawsze i bez najmniejszej wątpliwości i krytyki wierzyć, choćby ten dla swojego widzimisię ołów roztopiony do gardła, zamiast lekarstwa chorym wlewał. W innem bowiem miejscu publiczność i gazety rozniosłyby na strzępy tę nowoczesną Bastylię.

Ale cóż z tego? — pyta się Andrzej Efimycz, otwierając oczy. — I cóż z tego? I Koch i Pasteur i słuszność wymagania nie zmienią nic. Śmiertelność ta sama zawsze. Waryatom urządzają bale i spektakle, ale ich na wolność nie wypuszczają. Rezultat — wszystko głupstwo i żart, a różnicy między dobrą wiedeńską kliniką a moim szpitalem nie ma żadnej.

Ale pewien żal i uczucie, podobne do zawiści, przerywa mu rozmyślania. Z pewnością ze znużenia, ociężała głowa nachyla się nad książką, kładzie twarz na rękach, żeby było mu bardziej miękko, i zasypia.

„Ja służę przecież nauce i ludzkości, dostaję zapłatę od tych, których oszukuję; jestem nieuczciwy. Ale sam przecież jestem niczem więcej, tylko cząstką ogólnego zła; wszyscy urzędnicy kradną, a biorą pensyę. Znaczy, że mojej nieuczciwości nie ja jestem winien, ale czas... Trzeba mi było urodzić się o dwieście lat później, a byłbym mógł zostać innym“.

Trzecia bije, gasi lampę, idzie do sypialni, ale spać mu się nie chce.

(C. d. n.).

Tłom. Bronisława Jeremi.

Macaulay.

Z okazyi 100-letniej rocznicy urodzin.

W kryptach opactwa Westminsterskiego, niedaleko od Szekspira, Johnsona, Walter Scotta, spoczywa Tomasz Babington lord Macaulay, mąż stanu, mowca i publicysta. Zbytecznem byłoby wysilać się na szumny panegiryk i napuszysty hołd składać mu w stuletnią rocznicę urodzin — sława jego nie potrzebuje odświeżenia w pamięci współczesnych, dyplom nieśmiertelności nie stracił dlań jeszcze nic na wartości. Głęboki rozum polityczny, gruntowna znajomość świata i ludzi, przebijająca się z jego dzieł, po wszystkie wieki będzie służyła na najskuteczniejszego wabika do spuścizny lorda Macaulaya; wszyscy, którzy będą chcieć zapoznać się z historyą Anglii, z historyą swobód i wolności w tym kraju, chcąc nie chcąc czerpać będą musieli z tego zawsze świeżego źródła.

Nie marny przypadek zrządził, że zwłoki tego uczonego męża stanu spoczywają obok szczątków najwybitniejszych poetów angielskich. Przez szlachetny i obrazowy sposób przedstawiania faktów historycznych, udało się Macaulayowi połączyć prawdę z pięknem, naukę z artyzmem. Obrabiając każdy przedmiot po literacku, umiał zbliżyć się do historycznej prawdy drogą, niebezpieczną dla kogo innego, drogą imaginacyi. Carlyle drwił wprawdzie z literata-historyka, pisząc: „Ostatni tom historyi Anglii Macaulay'a albo jakikolwiek inny romans...“ — W tym jednak wypadku, jak i w wielu innych, przesadził zjadliwy krytyk. Tutaj poetyczna wyobraźnia stanęła na usługi historyi; dziejopisarz nie zasiadł samotnie na niedojrzanych wysokościach: autor poczynił ścieżki i dla słabszych na duchu pielgrzymów, aby i oni mogli korzystać z wspaniałego widoku.

Wielu uczonych, zasklepionych w swej pedanteryi, pisze tylko dla ciasnego koła fachowców, pogardzając z arystokratyczną nonszalancyą oklaskami i uznaniem ogółu.

Nie tak Macaulay, którym zachwyca się student, rękodzielnik i mowca, którego dzieła z przyjemnością czytają ludzie tej miary co Wellington, Guizot lub Bismarck.

Mąż stanu, mowca i dziennikarz wykształcili w Macaulay'u dziejopisa. Słowa jego, to nie martwe litery, to coś równie żywego jak natura co nas otacza i fakta, na które naocznie patrzymy. Przed umysłem genialnego autora wszystkie zdarzenia, nawet najzawikłańsze, ze wszystkiemi swemi rozgałęzieniami i epizodami, roztaczają się równocześnie, nie tracąc nic ze swego kolorytu, odcieni i wzajemnej koherencyi. To nie historya robiona z pudełek katalogów bibliotecznych i z tek z notatkami, to prawdziwy kinematograf w słowie, porywający wyobraźnię i serce, przekonywający swą wyrazistością rozum.

Macaulay był znakomitym mowcą parlamentarnym. Kto tak jak on znał działalność wymówionego słowa i zwykł był przemawiać do licznego audytoryum, ten umiał także, jeśli brał pióro do ręki, zapewnić sobie uwagę czytelników, zanim ich poprowadził na rozstajne drogi, gdzie musieli zająć stanowisko i wyrzec sąd stanowczy. Jako współpracownik dzienników przelewał on do historyi silne poczucie potrzeb dnia, znał nietylko przeszłość, którą odmalował, ale i teraźniejszość, do której zwracał się z konkluzyami.

Posiadając niezwykłe doświadczenie w sprawach politycznych i szeroką znajomość administracyi państwa, zaczerpniętą nie z pyłu bibliotek, lecz z życia, Macaulay stał spokojny wśród zawieruchy politycznej i bezustannie brał czynny udział w kształceniu swej ojczyzny. Whigowie, do których partyi należał, słuchali go z wytężeniem i entuzjazmem, a i przeciwnicy nie odmawiali mu swej uwagi, choć zdarzało mu się czasem przemawiać pięć i sześć godzin bez przerwy, albowiem nie mówił po to tylko, by mówić. Nikt nie odważył się nigdy podać w wątpliwości szczerość jego przekonań i czystość intencyi. W walce wyborczej przeciwnicy nie mogli mu nic innego zarzucić, jak tylko, że człowiek, który zna tak dokładnie starożytny Rzym, zapewne nie miał czasu poznać potrzeby Londynu i Glasgowa, a najcięższą armatą, wytoczoną przeciw niemu, było zawsze to, że w wolnych chwilach pisywał wiersze.

Zajmując wybitne stanowisko w administracyi i legislatywie państwa, jako członek rady w Kalkucie, prawodawca dla Indyj, sekretarz i skarbnik ministerstwa wojny, wszędzie odznaczał się Macaulay akuratnem spełnianiem poruczonych sobie obowiązków i pracowitością bez miary.

Wiadomości Macaulay'a w dziedzinie historyi literatury były ogromnie szerokie, chociaż nie popisywał się niemi przy lada okazyi. Starożytny klasycyzm miał w nim szczerego i entuzjastycznego wielbiciela, co jednak nie przeszkadzało mu wcale stawiać wyżej literatury nowożytnej, albowiem, jak mówił, nabiegłe procenta przewyższają dziś kapitał zakładowy. — Jako wierny zwolennik Bacona, stawiał on praktyczną pożyteczność nauk przed wszystkiemi ich zaletami. Astronomię łączy on stale z żeglugą, chemię z produkcyą przemysłową, a filozofia jest dlań tylko znajomością świata i etyki ludzkiej! Zagrzebywanie się w spekulatywny zamęt pojęć, dystynkcyj, definicyj i t. d. uważa Macaulay za marną zabawkę, nie przynoszącą żadnej namacalnej korzyści, żadnego praktycznego rezultatu. Ojcu, któremu dziecko kona na ospę, nie pomogą twoje filozoficzne elukubracye o znikomości szczęścia ludzkiego, powiada Macaulay. Zaszczep dziecku ospę, zrozpaczonemu handlowcowi daj szklanny dzwon, by wydobył swój zatopiony okręt, u rannego dokonaj wprawnie amputacyi — oto filozofia życia.

Anglus sum, angli nil a me alienum puto — mawiał z humorem. I rzeczywiście, mimo swych wzniosłych poglądów na świat, Macaulay nie szuka nowych nowych dróg dla swej etyki, ale trzyma się ubitej już na tem polu burżoazyjnej ścieżki. Rozumie on tylko jednę uczciwość, czy idzie o szyllingi czy o miliony. Każdy czyn ludzki musi on zaraz podporządkować pod jakąś normę etyczną. Nie potrafi on zrozumieć geniusza, któryby nie był równocześnie człowiekiem moralnym i to w anglikańskiem tego słowa znaczeniu. Kiedy mu przyjdzie oskarżać taką wielkość historyczną przed opinią świata, Macaulay czuje się w swojem żywiole, gniew jego miota iskry, a słowa toczą się w gwałtownym pędzie, druzgocąc wszystko po drodze. Nie masz u niego przebaczenia! Sarkazm historyka dorównuje nieraz takim wzorom jak Swift i Junius. Wystarczy przeczytać sylwetkę Voltaire'a, w której autor zohydza poniżej właściwych granic filozofa z Ferney.

Historyczne i literackie szkice Macaulay'a należą do najdoskonalszych arcydzieł w tym rodzaju. Są to studya epok i charakterów. Wszystkie odcienie są delikatnie naznaczone, z dziwną akuratnością autor odtwarza nam sposób myślenia, uczucia i motywy działania historycznych postaci, maluje wiernie czasy Miltona z purytańską krwiożerczością, czasy Elżbiety z wyuzdaniem i dyplomatycznem krętactwem, Macchiavella z bezwzględną teoryą despotyzmu i wojenne rococo Fryderyka II.

Do najulubieńszych autorów Macaulay'a należą Tucydydes i Juliusz Cezar. Co prawda nauczył się on więcej od Liwiusza i Herodota, tworzących także przy pomocy bujnej wyobraźni. Od Sallustynsza i Tacyta przejął surowość w sądach, od Owidyusza poetyczny polot, od klasyków angielskich wykwintny styl.

Dzieło jego pozostanie mimo niedokładności wzorem dla historyków-moralistów, a pamięć jego długo jeszcze trwać będzie u wszystkich miłośników żywego słowa i bujnej wyobraźni.

Guy de Maupassant.

WAMPIR.

Opowiadanie.

Wielka sala hotelowa poczynała się zwolna zapełniać. Lokaje obnosili półmiski zwolna, bez pośpiechu, aby nie czekać na maruderów i nie podawać następnie drugi raz; dawniejsi goście kąpielowi, ci, którzy bawili tam już od początku sezonu spoglądali ciekawie ku drzwiom ilekroć się otwierały, by ujrzeć nowe twarze.

Jestto jedna z rozrywek w kąpielach. Czeka się na obiad celem zrobienia przeglądu nowych gości, celem odgadnięcia kto oni są, co robią i czem myślą. W naszym mózgu błąka się niejasna potrzeba miłych niespodzianek, przyjemnych znajomości, może przygód. Nieznany sąsiad nabiera niezwykłego znaczenia w tem życiu, w którem wszyscy poszturkują się łokciami. Ciekawość zostaje podrażnioną, zmysł towarzyski budzi się a sympatya jest zawsze w pogotowiu.

Z wojny chińskiej.



Wojska rosyjskie broniące barykady, szturmowanej przez hordy czerwonego kułaka.

Wykwitają tu tygodniowe sympatye i przyjaźni trwające miesiąc. Na ludzi patrzy się innymi oczyma, pod innym, kąpielowym kątem widzenia. Spacerując wieczorem po kolacyi pod cieniem drzew w parku, gdzie szersze źródło przywracające zdrowie, odkrywa się nagle wśród pogawędki różne rzadkie przymioty, niezwykłą inteligencyę po to, aby w miesiąc później zapomnieć na śmierć o nowych przyjacielach.

Ale silne i trwałe stosunki powstają tutaj prędzej niż gdziekolwiek. Widując się codziennie łatwo się zapoznać, a do powstających wzajemnych sympatyi dołącza się jeszcze urok i poufałość starej znajomości. Potem ma się bardzo miłe wspomnienia z tych pierwszych chwil przyjaźni, tych pierwszych rozmów, w których jedna dusza otwiera się przed drugą, spojrzeń które zapytują i dają odpowiedzi na tajemne, nie wypowiedziane jeszcze przez usta myśli, wspomnienia pierwszych chwil serdecznej ufności, czaru tryskającego z momentów, w których otwiera się twe serce przed człowiekiem dozwalającym nam nawzajem zajrzeć w tajnie swojej duszy.

Melancholia właściwa miejscom kąpielowym, monotonia dni, z których jeden jest zawsze podobny do drugiego, oblewa jeszcze większym czarem te wybuchy zaufania i przyjaźni.

* * *

Jak codziennie, tak i owego wieczoru oczekiwaliśmy pojawienia się jakichś nowych, nieznanych postaci.

Ukazały się dwie tylko lecz bardzo dziwne: mężczyzna i kobieta, ojciec i córka. Oboje zrobili na mnie wrażenie figur z dzieł Edgara Poego, otaczał ich dziwny urok, urok nieszczęścia. Wyobrażałem sobie, że muszą być ofiarami jakiegoś fatum. Mężczyzna był chudy, bardzo wysoki i garbił się nieco; włosy miał zupełnie siwe, odbijające silnie od młodej jeszcze twarzy. W całej postaci i ruchach była rozlana jakaś powaga i surowość która charakteryzuje protestantów.

Córka mogła mieć 24 do 25 lat i była wątła, delikatna, chuda i blada. Na twarzy jej rozsiadł się wyraz apatyi i niezadowolenia. Czasem zdarza się spotykać ludzi, którzy zdają się być za słabi na życiowe trudy, za słabi aby się poruszać, chodzić i w ogóle robić to wszystko, z czego się składa każdy dzień powszedni. Była to dość ładna, ale piękność jej należała do rzędu wątłej, cieplarnianej urody. Jadła bardzo powoli, jak gdyby brakło jej siły do poruszania ręką.

Z nich dwojga, ona bezwątpienia potrzebowała się leczyć.

Siedzieli na przeciw mnie. Zaraz zauwarzyłem, iż ojciec miał niezwykły „tic“ nerwowy.

Ilekroć chciał wziąć jakiś przedmiot, ręka jego zataczała jakąś krętą linię, rodzaj dziwacznego zygzaku, zanim uchwyciła żądaną rzecz. Wkrótce, już ten widok tak mnie zmęczył, żem odwrócił głowę.

Zauważyłem również, że córka w czasie obiadu nie zdejmowała rękawiczki z lewej ręki.

Po obiedzie poszedłem na spacer do parku okalającego gorące źródła. Było to w Owernii, w Châtel Guyos, małej miejscowości ukrytej w dolinie u stóp łańcucha pagórków z którego tryskają ciepłe źródła, wydobywające się z głębokich ognisk dawnych wulkanów. Tam nad nami podnosiły stożki gór swe pospłaszczane długim szeregiem sterczące głowy; od Châtel-Guyos zatrzynają się łańcuchy, stożkowatych wzgórzy.

Gorąco było straszne. Szedłem cienistą aleją słuchając dźwięków orkiestry kasynowej, które spływały z pagórka dominującego na parkiem.

Wkrótce spostrzegłem ojca z córką, jak nadchodzili wolnym krokiem. Oddałem im ukłon, jak to jest w zwyczaju między sąsiadami hotelowymi Mężczyzna zatrzymał się i spytał.

— Czy nie mógłby nam pan wskazać jakie ścieżki, którąby można przejść się wygodnie a niedaleko? Chciej pan darować, że go trudzę.

Ofiarowałem się zaprowadzić ich do pewnej doliny, gdzie płynęła mała rzeczułka. Był to wązki przesmyk między skalistemi, zalesionymi górami.

Zgodzili się na to.

Rzecz naturalna, że rozmowa toczyła się na temat skuteczności kuracyi.

— Moja córka — mówił — cierpi na jakąś dziwną słabość, której źródła niepodobna wynaleźć. Podlega ona niespodziewanym atakom nerwowym. Lekarze domyślają się to wady sercowej, to choroby śledziony lub mlecza pacierzowego. Teraz znowu przypisują te objawy nerwicy żołądka, temu Proteuszowi o tysiącznych postaciach i zawikłaniach. Dlatego przybyliśmy tutaj. Mnie wszakże wydaje się, że to choroba nerwowa. Bądź co bądź, rzecz nie jest bardzo przyjemna.

Przypomniałem sobie jego dziwny „tic“ i zapytałem:

— Czy to nie dziedziczne? Czy pan nie masz nadszarpanych nerwów?

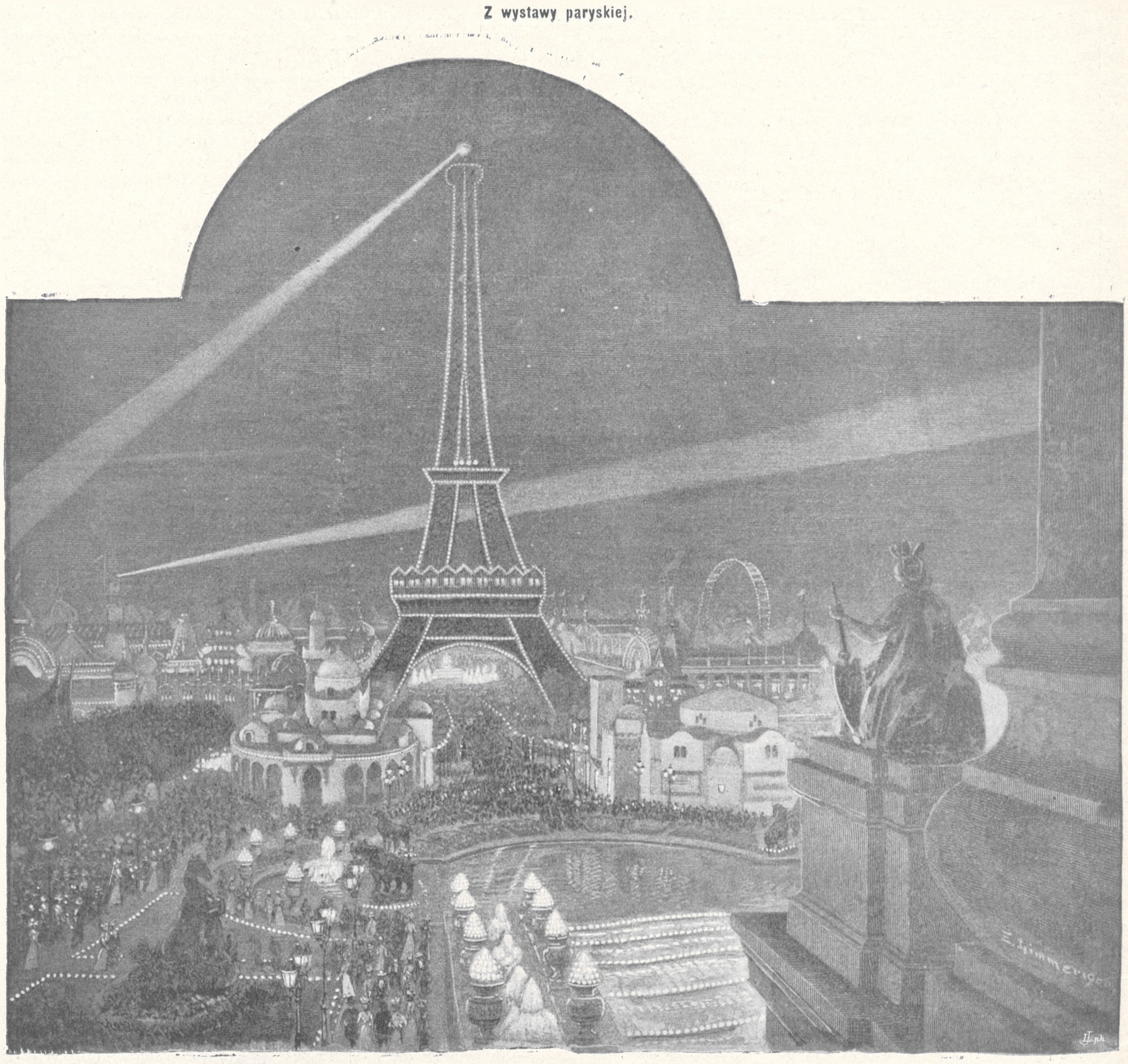
Odpowiedział mi bardzo spokojnie:

— Ja?..... Nie!..... Moje nerwy były były zawsze całkiem zdrowe.

Po chwili milczenia dodał nagle:

— Ach zapewne masz pan na myśli ruchy jakie czynię ręką, chcąc ująć jakiś przedmiot? To skutek silnego wzruszenia,

Z wystawy paryskiej.



Illuminacya placu wystawowego, widziana z Trocadéro.

które przeszedłem. Pomyśl pan tylko, że ta dziewczyna została żywcem pogrzebaną!

* * *

„Było to tak. Rzecz nader prosta. Julietta miewała od jakiegoś czasu mocne ataki sercowe. Przypuszczając, że to wada serca, byliśmy na wszystko przygotowani.

Pewnego dnia przyniesiono ją do domu zimną, bez życia i bez ruchu. Upadła w ogrodzie. Lekarze skonstatowali śmierć. Czuwałem przy niej przez dwie nocy i dzień. Sam złożyłem ją do trumny i odprowadziłem zwłoki na cmentarz, gdzie zostały złożone w grobie familijnym. Było to u nas na wsi, w Lotaryngii. Na moje życzenie pochowano ją w tej samej sukni, którą miała na swoim pierwszym balu, ze wszystkimi odemnie otrzymanymi klejnotami i podarkami.

— Możesz pan łatwo sobie wyobrazić, co się działo w mem sercu, gdym wracał do domu.

— Ja tylko jedną miałem na świecie, gdyż moja żona zmarła już dawno. Wróciłem sam, prawie nieprzytomny, upadłem na fotel bez władzy zebrania myśli. Byłem poprostu rozbitą maszyną, kaleką.

Dusza moja była jedną otwartą raną.

W drzwiach ukazał się Prosper mój stary sługa, który pomagał mi przystrajać Juliettę i układać ją na wieczny sen. Przystąpił do mnie pocichu pytając:

— Może by pan co zjadł?

— Nie odpowiadając, zaprzeczyłem kiwnięciem głowy.

Nie zadowoliło go to wcale.

— Źle pan robi. To nie doprowadzi do niczego dobrego.

Czy mam panu pomódz w rozbieraniu się?

— Nie, zostaw mnie w spokoju, odpowiedziałem.

Poszedł.

— Nie wiem ile godzin przeszło. Co za noc! Co za noc! Zimno było przejmujące, ogień w wielkim kominku wygasł zupełnie, a wiatr, zimny lodowaty wiatr ze zamarzniętej równiny, wstrząsał okienice z dziwnym monotonnym stukotem.

Ile godzin przeminęło? Siedziałem nie śpiąc skostniały, skamieniały, bez ruchu z otwartymi oczyma, z wyciągniętymi nogami i bezwładnie zwisłem ciałem; rozpacz mnie pożerała. Wtem zabrzmiał dzwonek przy głównym wchodzie westybulu.

Doznałem takiego wstrząśnienia że aż fotel zatrzeszczał podemną. Donośny, poważny dźwięk rozebrzmiał po całym pustym pałacu. Obróciłem się, aby spojrzeć na zegar. Była druga po północy. Kto to przychodził o tej godzinie?

W tej chwili dzwonek odezwał się powtórnie, widać służba nie miała na tyle odwagi aby otworzyć. Wziąwszy świecę zeszedłem na dół. Już miałem się zapytać: kto tam?

Zawstydzony jednak własną słabością obróciłem zwolna klucz tkwiący w starym zamku. Serce biło mi głośno; ogarnęła mnie trwoga. Drzwi szybko się otwarły i spostrzegłem w cieniu jakąś białą smukłą postać, niby widmo.

Cofnąłem się wstecz ze strachem.

— „Kto to?“

— „To ja, ojczulku“ odpowiedział jakiś głos kobiecy.

Zdawało mi się, żem zwaryował. Cofnąłem się przed widmem, idącem prosto na mnie i zrobiłem ruch ręką, jak gdybym chciał odpędzić wampira. Ten ruch pozostał mi na zawsze.

Widmo mówiło dalej:

— Nie bój się, ojczulku ja nie umarłam. Odcięto mi palec, chcąc ukraść pierścionek i to wróciło mnie do przytomności.

Spostrzegłem iż była rzeczywiście zalana krwią.

Łkając upadłem na kolana.

Zebrawszy wreszcie myśli zaprowadziłem ją do pokoju i posadziłem na krześle. Jeszcze nie mogłem nawet ocenić tego strasźliwego szczęścia, jakie stało się moim udziałem. Zawołałem jednego z lokai, zapaliłem lampę i podawszy memu dziecięciu koniaku, kazałem wezwać lekarza.

Nagle wszedł Prosper. Ujrzawszy moją córkę, otworzył usta w konwulsyi przestrachu, zadrżał całem ciałem i upadł martwy na podłogę.

To on otworzył grób i obciął palec mojej córce. Ślady usiłowanej kradzieży były widoczne zaraz na pierwszy rzut oka. Nawet nie zadał sobie tyle pracy, aby zasunąć trumnę na dawne miejsce. Zbyt był pewnym mego zaufania, które go miało ustrzedz przed wszelkiem podejrzeniem.

Widzisz pan zatem, że jesteśmy bardzo nieszczęśliwi.“

* * *

Zamilkł, noc poczęła zapadać, a całun mgły zasnuwał powoli smutną, odludną dolinę. Ogarnęła mnie jakaś tajemna obawa przed tymi obcymi, dziwnymi ludźmi, przed córką co wstała z grobu i ojcem którego ręka drżała w spazmatycznym ruchu, nie znalazłem słowa odpowiedzi, szepcząc tylko:

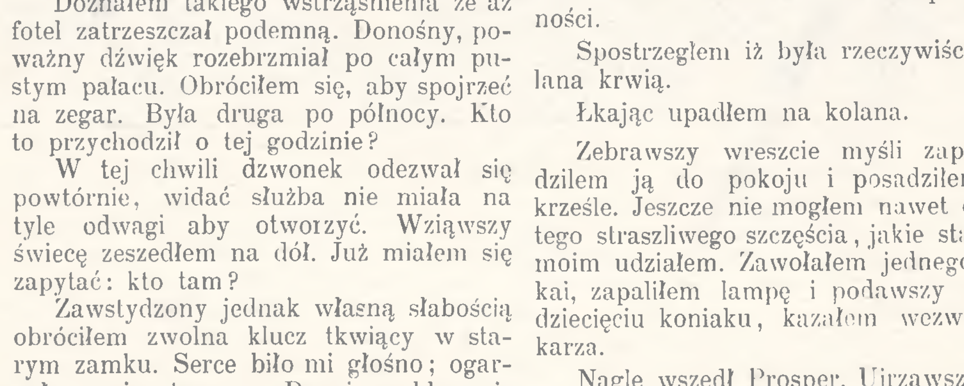
„Straszna, straszna rzecz“.

Potem dodałem:

„Możebyśmy wrócili? Zdaje mi się że poczyna być coraz chłodniej.

Powróciliśmy do hotelu.

Proces Hilsnera w Pisku.



Hilsner przesłuchiwany przed sądem.

Z minionych chwil dostojnika kościelnego.

Lat temu kilkanaście. Na lipcowem niebie nie było ani chmurki. Dzień był tak jasny i pogodny, żebyś był przysiągł, jak lud powiada, iż „Matka Boska przelewa zdroje światła przez sitko“, co tem łatwiej można było mniemać, że była to niedziela, a N. Marya Panna na niedziele najwięcej łaskawa, jako na dzień świąteczny.

Lud okoliczny, odświętnie ubrany, płynął wezbraną falą ku Wilamowicom, małemu miasteczku w powiecie bialskim, jakby w tem lichem gnieździe miał się odbyć co najmniej odpust.

Widziałeś strojne wieśniaczki z Pisarzowie, Janowic, Bestwiny, Starej Wsi, Hałenowa, Kaniowa, Jawiszowic i Hecznarowic pobliskich. W strugach złotego światła migotały krasne wstęgi, lśniły się jedwabne chustki, połyskiwały bronzowe medalioniki przy koronkach i różańcach.

Chłopi kroczyli zamaszyście, a czapki i kapelusze nasunięte na bakier z wielką fantazyą, zapowiadały wyraźnie, że pokrzepili gdzieś poprzednio kieliszkiem omdlałego z gorąca ducha.

Zdala dolatywał uroczysty głos dzwonu, niesiony lekkim podmuchem wiatru letniego.

Na rozstajnych drogach, nad stawkiem napełnionym wodą o tajemniczo zielonawej powłoce, o jaki kilometr od kościoła parafialnego, przystawały dziewczęta i kobiety, by ochłodzić strudzone nogi w zielonawej toni stawku i przywdziać na nie trzewiki, bo nie „wypadało“ przecież iść boso na taką uroczystość.

A była to naprawdę uroczystość nielada, nietylko dla Wilamowiczan, lecz także dla całej okolicy. Dzisiejszy ks. Arcybiskup lwowski, dr J. Bilczewski, miał właśnie w tym dniu odprawić w rodzinnem miasteczku pierwszą mszę świętą — „odbyć prymicye“.

— Czy go znacie, kumotro? Widzieliście go już przed tem kiedy?

— A cobyk go tam nie znała? Dyć-ta człek przecie, nie wymawiając, idzie czasem do kościoła; widziałak go, moiściewy, w kościele.

— A jakże wygląda?

— Śmigły jak jodełka, wysoki, z jasnymi włosami; kręcą mu się w pierścionkach i podobny do tych aniołków, co ich to widać w kościołach na obrazach.

— No, widzicie, widzicie! To się też nie darmo chwalą „Wilamowianie“, że mają znowu księdza. Nie dziwota, kiedy taki piękny.

— Dlatego chce go jeszcze zobaczyć, chociaż już dość widziałak „pryminicyj“. Będzie to coś niezwyczajnego, bo przecie i ks. Canneau, wikary z Pisarzowic, będzie miał kazanie, a on wam tak wszyćko ze serca wygada, że się nieraz chce człowiekowi płakać, a czasem to się naprawdę zbeczy.

— Słyszałak ja już ta nieraz ks. „Kanego“, ale wiecie, ten młody księżycek, to ma być coś tak miłego, żek się wyrwała z chałupy od biedy, żeby raz jeszcze w życiu oczy nacieszyć. Boto, wiecie, przy każdych „pryminicyach“ raduje się serce i Pan Bóg w niebie. Pono niema piękniejszej chwili w życiu człowieka — jak taka, kiedy po raz pierwszy na rękach Pana Jezusa piastuje.

— Mie ta znowu idzie oto, żeby jego matkę zobaczyć. Będzie się też to cieszyła, że syn wyszedł tak wysoko; bo to, sami przyznacie kumotro, że się musi serce radować matczysku, kiedy syn nie wykierował się na jakiegoś ta „łatkę“, ino na księdza. Przeszła ona ta dość, bo to na takim małym gruncie, wiecie — ino pare morgów pola — trzeba było harować co nie miara, żeby się doczekać takiej chwili.

— No, juścić! ale spieszmy się, bo to już z moździerzy strzelają i muzyka za-

czyna grać. Będzie kazanie, potem wyprowadzą go do kościoła, a potem odprawi mszę. Chciałabyk też, żeby ta i mnie i moimu „darembokowi“ (darmozjadowi) ścisnął głowę, bo jak wiecie, posłałak go do szkół, choć się mój stary sprzeciwiał, żeby się też ta czego nauczył. Daj Boże, żeby dożyć i jego „prymincyj“, bo to ino ciągle rozprawia, że księdzem będzie.

— Daj wam Boże, ale to jeszcze dużo wody upłynie, zanim on czem zostanie, bo to to pono ma iść dopiero do „gimnazyje“, a wiecie przecie, że to okropnie długo się ciągnie i gorzej tam wytrwać, niż przy wojsku.

— Może też ta Pan Jezus i Najśw. Panienka dopomogą jakoś. A ty synku, pamiętaj se, weź se przykład z tego młodego księżycka, co go dziś będą „wyświęcali“ i ucz sie dobrze. Trzymaj się w szkołach rękami — nogami, bo w domu nic po tobie, kiedy robić nie chcesz.

* * *

Tymczasem w bocznej uliczce, prowadzącej na dół od kościoła, leżącego o parę set kroków, przed świeżo pobielonym, na pochyłości łagodnego wzgórka, leżącym domkiem, zatrzymała się cała fala ludu okolicznego. Brama wygięta w kształcie okrągłego łuku, przybrana suto polnymi kwiatami,, wznosiła się o kilkanaście kroków od domu; popod nią miał przejść tryumfalny pochód z młodym kapłanem na czele, do poblizkiej świątyni. Przed domem, na wzniesieniu, stanął ks. Canneau, z twarzy do młodziuchnego prymicyanta bardzo podobny. Opodal, przed drzwiami domu, stał ks. Bilczewski i jego rodzice.

Gorące i natchnione słowa znakomitego kaznodziei rozrzewniły wszystkich. Młodzianowi, wstępującemu na drogę przyszłego duchownego życia, wykwitły szlachetne rumieńce na twarzy, łzy połyskiwały mu w oczach i drgały w głosie, kiedy przyklęknął po błogosławieństwo u nóg rodziców. Lud, stojący na około, płakał z rozrzewnienia, a matki, mające dzieci w szkołach, podnosiły często fartuchy do oczu.

Młodzieniec, ubrany w szaty kapłańskie, wstał, podniósł kędzierzawą głowę, nad kobiecy tłum i spojrzał dziękczynnem okiem ku niebu. Z piersi jego dobyło się głębokie westchnienie ulgi, kiedy pochód ruszył ku drewnianemu kościółkowi. Mówił sobie pewno w duszy: „Nareszcie!“ — bo „nie z soli, ani z roli, ale z tego co go bolało“ — wyrósł. Twarda praca była mu od najpierwszych dni życia towarzyszką.

Zaszumiały sztandary, podjęte lekkim podmuchem wiatru, zakołysały się szkarłatne sukna chorągwi, zabrzmiała muzyka, wstrząsnęły powietrzem wystrzały moździerzowe, odezwał się dzwon majestatycznym tonem na wieży i popłynęła dziękczynna, a zarazem radosna pieśń ku niebu. Za chwilę odezwał się donośny i dźwięczny głos młodzieńczy. To ks. Bilczewski śpiewał pierwszą w swoim życiu mszę św.

Michał Magiera.



Ks. dr Bilczewski
nowomianowany arcybiskup lwowski.

Filip Berges.

U chińskiego golarza.

Humoreska amerykańska.

Na oknie pana Lee-Ah-Shong w Mottstreet, chińskiej dzielnicy New-Yorku, wisiał olbrzymi afisz rażąco-czerwonego koloru, na którym widniały złote litery chińskiego i angielskiego alfabetu. Był to krzyczący, jarmaczny, prawdziwie amerykański anons, który nie przeszedł bez wrażenia u wygolonych i strojnych w warkocze synów „Niebieskiego państwa“. Oto wierna kopia:

> **Baczność!** **Baczność!**
>
> Zniżone ceny!
>
> **Dawniej 75 cents** **Dzisiaj 45 cents.**
>
> Golenie twarzy i głowy, plecenie warkoczy, łechtanie uszu (15 minut), golenie powiek, wyciąganie zębów i palców itd. 45 cents.
>
> **Lee-Ah-Shong**
>
> golarz i lekarz nagniotków.

Czytając ten afisz, nie dziwiłem się wcale zniżeniu ceny z 75 cents. na 45 cents., lecz osobliwszemu ogłoszeniu, że prócz golenia i plecenia warkoczy, zalicza się jeszcze do tej procedury łechtanie uszu, golenie powiek, wyciąganie zębów i palców. Zdecydowawszy się w jednej chwili, wdrapałem się w jednej chwili na schody dość porządnie wyglądającego domu i wszedłem do golarza. Pokój, w którym się teraz znalazłem, był mały; w środku stał wygodny fotel z oparciem na głowę, obok stołeczek obity materyą w jakiś dziwaczny deseń i mała umywalnia. Ściany pokryte były kolorowemi tapetami, częścią z papieru, częścią z tkanej materyi. Obrazy bogów, których znaczenia trudno dopatrzeć i straszne postacie zwierząt wielogłowych i wielonożnych wykrzywiały się i wyszczerzały do mnie zęby.

W pobliżu okna zobaczyłem warkocz, który, spływając poza poręcz fotelu, dotykał prawie ziemi. Ten dumny, wspaniały okaz był własnością golarza i „lekarza“ nagniotków Lee-Ah-Shong'a, który, zobaczywszy mnie powstał i podszedł ku mnie. Był to mały, tłusty, wykrzywiony człowieczek w ubraniu wieśniaka chińskiego, w miękkich, jedwabnych bucikach na nogach.

— Proszę mnie ogolić — rzekłem.

— „Ahl leikie!“ — odparł z wdzięcznym uśmiechem golarz, imitując niezgrabnie angielskie „all right“ i zapraszając mnie, bym usiadł na fotelu. Następnie rozrobił mydło i zaczął ostrzyć brzytwę. Do tej chwili nie zauważyłem żadnej różnicy między nim, a którymkolwiek z europejskich golarzy. Doskonała brzytwa z Sheffield'u poruszała się tam i napowrót po skórze, a głowa „doktora“ wtórowała ruchom brzytwy w tak osobliwszy sposób, że długi warkocz kiwał się wahadłowym ruchem. Wreszcie założył mi chustkę pod szyję. Przechyliłem głowę w tył i w tejsamej chwili uczułem nieskończenie lekką rękę Chińczyka, jak chyżo suwała brzytwą po mych policzkach.

— Nie potrzebujesz mi golić głowy, nie żądam też, abyś plótł warkocz — żartowałem. — Mimo to zapłacę za wszystko.

Spodobało się to bardzo golarzowi. „Hihihi, hohoho“ zaśmiał się i powiódł lekko ręką po mej głowie, jakgdyby żałował i litował się nad tem, że głowa moja jest tak gęsto porosła włosami, a nie ma na niej śladu warkocza.

Golił pomału, nie opuszczając żadnego miejsca na twarzy, nie zaniedbał nosa, ani czoła, ani skroni, ani nawet miejsca między brwiami.

Nademną, na powale, gdzie skierowałem swe oczy, znajdował się kawałek żółtego jedwabiu, pokrytego malowidłem, przedstawiającem stary, walący się mur, nad którym widać było mnóstwo dziwacznych postaci z głowami ludzkiemi, skrzydłami motyli, ciałami robaków i straszliwemi szponami. Domyśliwałem się, że jestto obraz części olbrzymiego muru, który więcej, jak przed dwoma tysiącami lat został wzniesiony przez chińskiego cesarza Ching. Na moje zapytanie, czy to domniemanie jest prawdziwe, odpowiedział mi Ah-Shong, że jestto obraz bramy jego rodzinnego miasta Ku-Yung.

— Obraz bramy? — zapytałem zdziwiony. — Przecież jest to zamknięty mur, otoczony straszliwemi stworzeniami!

— Hihihi! Zamknięty mur! Naturalnie jest nim. Brama została zamurowaną przed czterema setkami lat — i lekko przesuwając brzytwę po mej twarzy, opowiedział mi losy swej ojczyzny, oraz ciekawą historyę miasta Ku-Yung. Jestto miasto, leżące w pobliżu Nankinu, które z powodu zabobonu pewnego Chińczyka, nazwiskiem Tung-Shui znalazło się w ciekawem położeniu. Tung-Shui miał to przekonanie, że w powietrzu żyją złe i dobre duchy, które wpływają tak, na losy jednostek, jako też i na losy narodów. Chińczycy zatrudniali zatem olbrzymią ilość t. zw. Tung-Shui-doktorów, którzy mieli moc nad tymi duchami, przyciągali dobre a odganiali złe. Czterysta lat temu, gdy w Chinach panowała dynastya Ming, odkrył jeden z takich Tung-Shui-doktorów, że miasto Ku-Yung ukrywa przyszłego cesarza, który, zawładnąwszy państwem, podniesie wszystkich mieszkańców tego miasta do godności mandarynów i innych wysokich godności. Ówczesny cesarz zaczął się obawiać o swoją koronę i postanowił zapobiedz niebezpieczeństwu, które mu groziło od nieznanego rywala. Naprzód kazał zamurować północną bramę miasta, gdyż prawdopodobnie stamtąd nadciągały złe duchy, a potem wydał prawo, mocą którego mieszkańcy miasta Ku-Yung mogli się poświęcać tylko następującym zawodom: golarstwu, wycinaniu nagniotków i przyrządzaniu bambusów. Do ludzi, którzy mają do czynienia z tak ostrymi instrumentami, nie odważyłyby się duchy przystąpić — tak orzekli uczeni, a co jest jeszcze ważniejszem, to ta okoliczność, że z pomiędzy ludzi takiego stanu cesarz nie mógłby być obranym. „Prawo to utrzymywało się, aż do dzisiejszego dnia, i to jest przyczyną“ — kończył Lee-Ah-Shong, wycierając mi twarz i obsypując pudrem — „że prawie każdy golarz pochodzi, tak, jak i ja, z Ku-Yung, które to miasto ma szczególniejszy przywilej wykształcania wyżej wymienionych rzemiosł. Stąd też pochodzi, że północna brama mego rodzinnego miasta pozostała do dziś dnia zamkniętą“.

Oczy moje spoczywały przez czas trwania tego wykładu na powale. Zwolna zaczęły straszne duchy Tung-Shui, które otaczały bramę, przybierać żyjące kształty, wić się i zbijać w nierozerwalną masę. Ich długie cielska pełzały jedne po drugich, oczy błyszczały, a wszystko to poruszało się wkoło z szybkością piorunu i wywoływało zawrót głowy.

Szybko wyprostowałem się w fotelu i strząsnąłem z siebie te chińskie strachy.

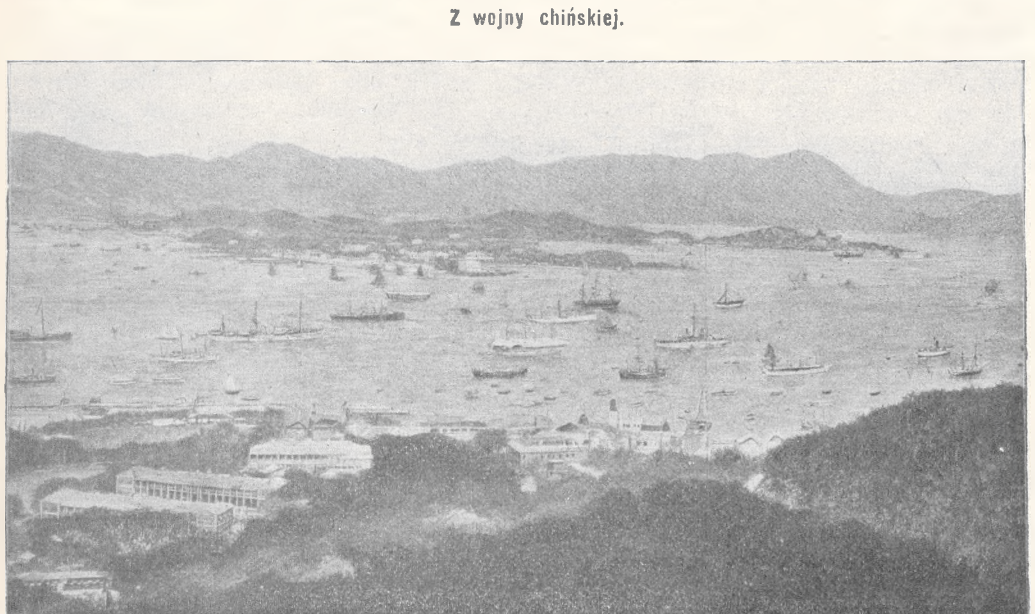
— Teraz kolej na łechtanie uszu! — rzekł pan Lee-Ah-Shong i wyjął z szuflady

Położenie kamienia węgielnego pod muzeum historyczne w Saalburgu.



Niemcy, przebrani w stroje rzymskich żołnierzy.

Z wojny chińskiej.



Widok portu w Hong-kong, naprzeciw półwyspu Kaulung.

z dwadzieścia różnych maleńkich instrumentów. noży, pilników, szczoteczek, obcęgów, młotków. Na ten widok ogarnęło mnie niemiłe uczucie, podobne do tego, jakiego się doznaje, siedząc w poczekalni u dentysty.

Najprzód wsunął mi chiński operator długą cienką, stalową lancę do ucha, którą począł, prędko w palcach obracać; ruch ten wywołał straszne, nie do zniesienia swędzenie. Chciałem głośno krzyczeć, oddechu mi brakło — ale „doktor“ nie darował, przytrzymał lewą ręką głowę i zaczął przemawiać jak do niecierpliwego dziecka. — Oh — Oh! Tylko spokojnie — to nie długo potrwa! — — Ach — co tu brudu;...

Zanim się zdołałem zoryentować, zaczął przeprowadzać Lee-Ah-Shong tęsamą procedurę z drugiem uchem. Lancę zamienił teraz, na szczególnego kształtu jedwabną szmatkę, którą owinął na cienką szczoteczkę i włożył w ucho. Potem wziął do ręki trzeci instrument w formie długich obcążków i zapuścił go znowu w ucho, aby usunąć delikatne włoski. Wreszcie nadszedł główny akt: właściwe łechtanie uszu. Jestto ciekawa operacya. Małe obcążki z dobrej stali wsuwa się do ucha w ten sposób, że końce ich dotykają bębenków następnie za pomocą śruby znajdującej się zewnątrz otwierają się obcążki. Teraz uderza delikatnie operator maleńkim młotkiem w śrubę i powtarza to w regularnych odstępach. Wywołana przez to wibracya bębenków usznych rozszerza wysoce przyjemne wrażenie po całej głowie. Po małej chwilce słyszy się senne szmery, jakby oddalone dźwięki muzyki, szelest wiatru lub morza, a wreszcie przechodzą powoli wszystkie te uczucia jakby w półsen, który trwa jeszcze po skończeniu operacyi. Teraz bierze „doktór“ naczynie z zimną wodą i wymywa uszy, poczem je wysusza — i wreszcie ostatnia część programu — łechtanie uszu skończone. Operacya trwała ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście minut.

Teraz zabrał się Ah-Shong do golenia powiek. Wyciągnął znowu inny zbiór instrumentów i rozpostarł je przedemną. Niecierpliwość moja znikła, zastąpiła jej miejsce do najwyższego stopnia podniecona ciekawość.

Najprzód obmył moje oczy letnią wodą, następnie podniósł powoli w górę powiekę prawego oka, aż się wywróciła na drugą stronę i golił wewnętrzny brzeg oka miniaturową brzytewką, naturalnie tylko występujące włoski. Ta sama operacya powtórzyła się z drugiem okiem. Na zakończenie dmuchnął potężnie między powieki, zapewne dlatego, aby osunąć wszelki pyłek i przemył oczy wilgotną szmatką. Po skończeniu operacyi zapakował instrumenta starannie, a schowawszy je do szuflady, podkasał rękawy swego niebieskiego kaftana. Ze zdumieniem wypatrzyłem się na niego. Czyżby pan Lee-Ah-Shong miał zamiar się ze mną boksować? Nie, poczciwy Chińczyk ani myślał o tem. Z miłem skrzywieniem, które złączyło z sobą kąciki ust z dolnymi końcami uszu, przybliżył się do mnie i obnażył także moje ramię.



Matka i dziecko Li-hung-czanga.

Następnie ujął silnie moją prawą rękę, a swoją lewicę oparł o me ramię. W tej chwili usłyszałem silne trzeszczenie i uczułem straszny ból w ramieniu. Trzeszczenie kości słychać coraz bardziej, „doktór“ szybkimi i silnymi ruchami wyciąga mi palce ze stawów i napowrót je wpuszcza. Dla synów „Niebieskiego państwa“ stanowi taka procedura źródło rozkoszy, dla mnie była ona bardzo bolesną. Do tego trzeba być przyzwyczajonym od urodzenia. Każde pociągnięcie działało na mnie, jak uderzenie obuchem w głowę. Chciałem się zerwać i uciec, ale zabrakło mi już siły i woli. Ból stawał się coraz straszniejszy i rozprzestrzeniał się po wszystkich członkach; tysiące gwiazd widziałem przed oczyma, a po paru sekundach przestałem czuć — odrętwiałem...

Gdy otworzyłem znowu oczy zobaczyłem golarza, klęczącego przedemną i robiącego coś koło mych bótów, aby, jak zaraz pojąłem, powtórzyć swą straszliwą procedurę z palcami u nóg. Ogarnął mnie strach — jeszcze czułem ból w ramieniu i palcach.

Gnany nagłem postanowieniem, skoczyłem z szybkością błyskawicy, porwałem laskę i kapelusz, rzuciłem 50 cents. na ziemię i nie czekając wydania reszty, rzuciłem się ku drzwiom i począłem uciekać, co mi sił starczyło. Podczas tego pan Lee-Ah-Shong, golarz i „lekarz“ nagniotków, stał przed drzwiami i krzywiąc się niemiłosiernie, składał mi niskie ukłony, dopóki nie zniknąłem mu z oczu na rogu ulicy Mottstreet. Odetchnąłem nareszcie, czując się bezpiecznym.

Tłóm. K. W. K.

Nasze ryciny.

Rycina przedstawiająca przesłuchanie Hilsnera przez sąd pisecki, przypomni czytelnikom rozprawę, która zakończyła się we środę skazaniem żydowskiego mordercy na śmierć przez powieszenie. Zobaczymy, czy krwawa pieczęć wyroku zamknie na zawsze akta tej tajemniczej sprawy. Obrońca Hilsnera Dr. Auredniczek, zapowiedział przedłużenie dramatu jeszcze o jeden akt, wnosząc zażalenie imieniem swego klienta. Trudno na razie przewidzieć kiedy i jak się skończy ta krwawa, niezwykła historya, zwłaszcza w obec olbrzymich środków pieniężnych stojących na usługi Alliance Israelite...

Z rycin odnoszących się do wojny chińskiej znajdą dziś czytelnicy tylekroć w ostatnich czasach wspominany port Hong-kong, widok poselstwa amerykańskiego po pożarze, oraz wojsko rosyjskie broniące barykady, którą szturmują hordy czerwonej pięści. Ze wspomnieniami kosych oczu, zielonych smoków i rzezi „białych djabłów“ łączy się też rycina, przedstawiająca matkę i dziecko Li-hung-czanga. „Chiński Bismarck“, który tak świetnie wodzi za nos europejską dyplomacyę, jest szczęśliwym ojcem rodziny i ma podobnoś w pożyciu domowem odznaczać się różnymi przymiotami.

Już nie ma wystawy paryskiej! Wtorkowe telegramy przyniosły nam wiadomość o zamknięciu tego „jarmarku“ narodów, który uwiecznił się w pamięci zwiedzających setkami najprzeróżniejszych „clou“ a w kieszeniach akcyonaryuszów 120 milionowym deficytem. Tak wielkiemu „manco“ trudno się dziwić w obec nierozsprzedania olbrzymiej ilości biletów wstępu z jednej, a niesłychanych kosztów z drugiej strony. Same festyny, przyjęcia i illuminacye (jedną z nich przedstawia zamieszczona dzisiaj rycina), pożerały massy pieniędzy, a nieliczny stosunkowo zjazd nie powolił odbić sobie na kieszeniach gości wkładów, które musiały być olbrzymie. Mimo takiego niepowodzenia, już w przyszłym roku odbędzie się wszechamerykańska wystawa w Buffalo. Należy się spodziewać, iż pomysłowi Yankesi potrafią jakoś przepłoszyć grożące zdala widmo deficytu.

Cesarz Wilhelm nie był mimo półurzędowych zapowiedzi na wystawie paryskiej, lecz nagrodził to sobie dziesiątkami uroczystości, które nie wiele różniły się od wesołych pochodów i maskarad celem zabawienia gości wystawowych. Po całym szeregu nietyle wesołych z treści, ile rozweselających cały świat mówek urzędowych, zaaranżował sobie władca Niemiec uroczystość otwarcia muzeum mieszczącego starożytności znalezione w ruinach ongiś rzymskiego zamku Saalburg koło Homburga w księstwie Reuss. Była to rzymska maskarada, przy której sentymentalne, opasłe Niemki były Westalkami, a uczciwi, spokojni obywatele przemienili się „po prykazu“ w groźnych legionistów rzymskich. Grupę takich rzymian w okularach (!) z najprzeróżniejszymi brodami i krzywymi nogami, przedstawia nasza rycina, a pocieszny widok filistrów zbrojnych w hełmy i tarcze daje czytelnikom pojęcie o niesłychanej śmieszności tej dziwacznej maskarady. Cesarza przywitał u bram zamku „praefectus urbis“ łacińską przemową, zaś legat wygłosił wiersz powitalny na cześć „imperatora“ napisany przez majora Lauffa, pod którym to pseudonimem ukrywa się sam cesarz Wilhelm! Napuszysta mowa wygłoszona przez złotoustego władcę Niemiec zakończyła godnie tę komiczną uroczystość.

W dzisiejszym numerze zostały nadto zamieszczone trzy portrety.

Jeden z nich wyobraża znakomitego historyka Juliana Bartoszewicza (patrz artykuł), drugi jest wizerunkiem nowomianowanego arcypasterza lwowskiej dyecezyi ks. dra Józefa Bilczewskiego. Urodził się on w r. 1860 w miasteczku Wilamowicach, osadzie anglosarskiej, do dziś dnia w większej części niemieckiej. Studya odbywał w Wadowicach, teologię ukończył w Krakowie. Później doktoryzował się i wyjechał na pewien czas do Rzymu w celu uzupełnienia studyów, gdzie poświęcał się w znacznej części badaniu katakumb.

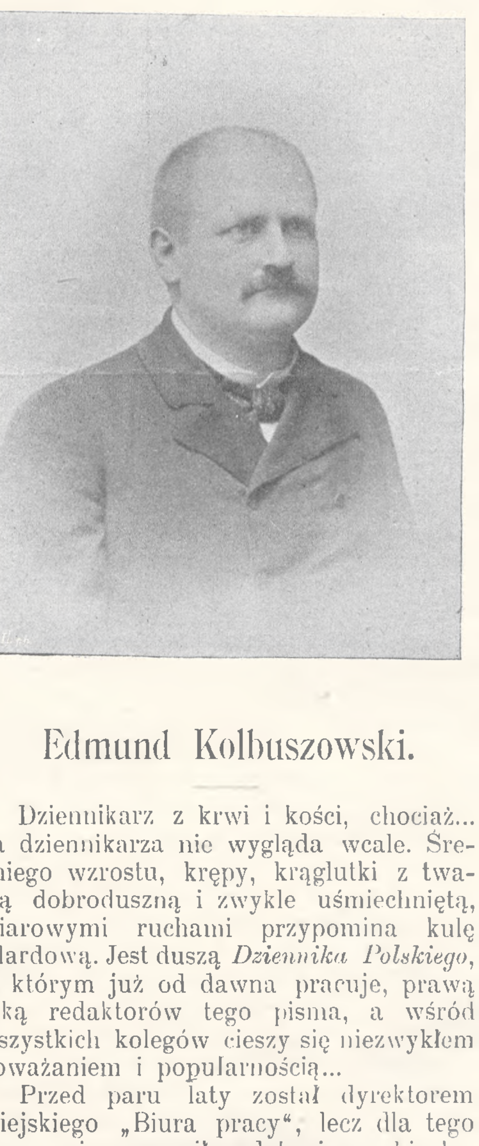
W roku 1890 był zastępcą katechety w gimn. św. Anny. W r. 1889 został wikaryuszem w Kętach a w tymże samym roku habilitował się na wszechnicy Jagiellońskiej na docenta dogmatyki ogólnej. W r. 1891 został zamianowany nadzwyczajnym, a w r. 1893 zwyczajnym profesorem lwowskiej wszechnicy. W r. 1899 obrano go dziekanem wydziału teologicznego, w roku bieżącym rektorem uniwersytetu.

Nowy arcypasterz cieszy się ogólną czcią i poważaniem wszelkich warstw naszego społeczeństwa zarówno dla swej głębokiej wiedzy jak i dla niezwykłych zalet charakteru.

Trzeci wreszcie portret wyobraża jednego z najsympatyczniejszych dziennikarzy lwowskich. p. Edmunda Kolbuszowskiego, który zjednał sobie wielką i zasłużoną sympatyę wśród kolegów po piórze, oraz wszystkich, którzy mieli sposobność zawarcia z nim bliższej znajomości.

Dziennikarze polscy w Galicyi.

Cykl sylwetek.



Edmund Kolbuszowski.

Dziennikarz z krwi i kości, chociaż... na dziennikarza nie wygląda wcale. Średniego wzrostu, krępy, krąglutki z twarzą dobroduszną i zwykle uśmiechniętą, miarowymi ruchami przypomina kulę bilardową. Jest duszą *Dziennika Polskiego*, w którym już od dawna pracuje, prawą ręką redaktorów tego pisma, a wśród wszystkich kolegów cieszy się niezwykłem poważaniem i popularnością...

Przed paru laty został dyrektorem miejskiego „Biura pracy“, lecz dla tego biura, nie porzucił redakcyjnego biurka.

Przez cały rok, dzień w dzień można widzieć, jak już o ósmej rano wsuwa się z tak zwanej kamienicy Sapiehy i toczy się ulicą Kopernika na plac Maryacki, gdzie obija się o „bant“ *Dziennika*, poczem skręca w stronę placu Bernadyńskiego. Tam wpada w wir... życia, tego prozaicznego życia kipiącego walką o byt, tchnącego żądzą zarobkowania i polepszenia własnej doli, choćby z krzywdą współbliźnich: załatwia tysiące spraw drobnych, wysłuchuje skarg, służbodawców i żażaleń pracujących; dla każdego ma w zapasie uprzejme słówko, za którem w ślad idzie czyn...

A gdy wybije dwunasta godzina, skoro tylko wyrwie się z tego zamętu skarg, próśb i utyskiwań, wtłacza się w stary trzcinowy fotel, opiera oba łokcie na starem biurku, strojnem w tysiące plam atramentowych i... zaczyna „robić dziennik“.

Kolbuszowski w *Dzienniku* prowadzi dział najcięższy, wymagający nietylko żmudnej, drobiazgowej pracy, ale zarazem czujności żórawia. Techniczny układ numeru, to jego praca, na pozór tak łatwa, a w gruncie rzeczy najmozolniejsza.. Nie koniec na tem, Kolbuszowski „ma telefon“: na pierwszy głos dzwonka telefonicznego, rzuca dopiero co rozpoczętą pracę i biegnie do telefonu, rozmania z „Wiedniem“, z „Krakowem“ i wraca znów do biurka, po to tylko, aby za chwilę, gdy „Wiedeń“ zawoła, znów rzucić wszystko i z wytężoną uwagą notować „najświeższe wiadomości“...

A przy tem Kolbuszowski gra w *Dzienniku* rolę „sumienia“ i pilnuje, aby charaktery i zapatrywania współpracowników nie stanęły przypadkiem w kolizyi z charakterem i zasadami pisma...

Obok tego Kolbuszowski rędaguje „Łowca“, jest korespondentem warszawskiego „Wieku“, zasila „Śmigus“ swoim humorem, a od niedawna po śmierci swego teścia ś. p. Chamskiego Dzikowskiego, objął stanowisko korespondenta telefonisty w krakowskim „Głosie Narodu“.

I mimo tej szalonej pracy, nie można w nim nigdy zauważyć zmęczenia: zawsze miły i uprzejmy, chętny do „zastąpienia“ każdego kolegi, na zawołanie ma uśmiech i dowcip... ma czas na wszystko...

U *„Alibaby“* cieszy się niezwykłem poważaniem: prezydyalne miejsce za stołem na niego należy...

Słówko o... „Alibabie“. Przy ulicy Kopernika poniżej „budy“, w której się mieści redakcya *Gazety Narodowej* istnieje niewielki handel korzenny p. Nowożeniuka, połączony z „interesem śniadankowym“, a nazwany przez dziennikarzy „jaskinią Alibaby“. Tam w południowych a czasem i wieczornych godzinach można zastać zawsze wesołe grono współpracowników *Dziennika, Kuryera, Przeglądu. Narodówki, Słowa i Wieku.* Nasyciwszy, ducha walkami, jakie toczą między sobą na spaltach swych dzienników w braterskiej zgodzie posilają zgłodniałe żołądki wśród rozmów jak najprzyjaźniejszych...

Tam Kolbuszowski oświadcza głośno, że jest „okrutnie zmęczony“ i natychmiast na prośbę któregoś z kolegów obiecuje go „zastąpić“, zastrzegając sobie rewanż, z którego nigdy nie korzysta...

O Kolbuszowskim jedno jeszcze można powiedzieć: jest on jedynym dziennikarzem we Lwowie, który nie jest wstanie mieć... wrogów... *(rex...)*

Wesoła lecz prawdziwa historya o chińskiej gazecie w New-Yorku.

Nie wszystkim wiadomo, że Chińczycy sprytem i chytrością przewyższają często Yankesów; niżej podane prawdziwe zdarzenie może być dosadnym tego przykładem. Cała historya przybiera nadto pewien bardzo pikantny koloryt skoro się zważy, iż ofiarą przebiegłości chińskiej padł „New-York Herald“, jeden z najpierwszych dzienników w Ameryce.

Chińczycy zamieszkali w New-Yorku trudnią się — praniem bielizny, ale polityka nie jest im wcale tak obca, jakby się to mogło wydawać. To też, gdy hordy czerwonego kułaka rozpoczęły swoją obfitą w skutki działalność, każdy chińczyk, piorąc kołnierzyki „białych dyabłów“ przemyśliwał nad tem, jakby to się dowiedzieć o postępach rzezi, aranżowanych przez swych współziomków w dalekiem państwie niebieskiem? Ale ciekawość „żółtych braci“ nie mogła być należycie zaspokojoną z tej prostej przyczyny, iż mało który z nich umiał czytać po angielsku, nie wierzyli zaś kłamliwym opowiadaniom znienawidzonych Yankesów. Wtedy pewien młody, zarówno sławy jak pieniędzy żądny dziennikarz nowojorski, wpadł na myśl założenia chińskiego dziennika, któryby pouczał wszystkie męskie praczki i palaczy opium w stolicy Unii o najświeższych wydarzeniach w państwie środka. Młodemu studentowi chińskiemu z „Columbia College“ została powierzoną misya tłomaczenia angielskich telegramów na piękny chiński język i dziennik począł wychodzić.

Młody człowiek zamalowywał dzień w dzień po kilka arkuszy papieru hieroglifami swojej mowy ojczystej, które na oko wyglądały wspaniale. Szkoda tylko, że wydawca nie mógł ich ani rusz zrozumieć. Na szczęście był on nie w ciemię bity, to też zamówił sobie drugiego chińskiego redaktora, który o pierwszym wiedział akurat tyle, co tamten o nim t. j. nic. Temu drugiemu przypadło w udziale tłomaczenie chińskich kulfonów na uczciwy język synów Albionu, po czem wydawca, spokojny już o treść, dawał manuskrypt do fotografii, drukował go i sprzedawał po $2^1/_2$ pensa, pewien sutego zarobku.

Lecz nadzieje jego zostały sromotnie zawiedzione. Zaledwie kilka egzemplarzy rozchodziło się wśród „żółtych braci“ pomimo,

iż nawet najbrudniejszy „pracz“ w najbardziej zapadłej dziurze dzielnicy chińskiej, rozprawiał godzinami o brutalności Japończyków, klęsce Seymoura lub hrabim Waldersee! Dopiero po jakimś czasie doszedł nieszczęsny wydawca do jądra rzeczy. Oto Chińczycy umieli sprytnie wyzyskać kapitał i pracę „białego dyabła“ na przeróżne sposoby. Niektórzy z nich przyklejali dziennik w swojem mieszkaniu, pobierając od czytających współbraci jakąś niewielką należytość; inni, kupiwszy numer, obchodzili z nim kilkanaście pralni i nor, w których palą opium i czytali głośno najświeższe wiadomości, zbierając po prelekcyi „co łaska“ od żółtych słuchaczy, a wreszcie pewien obiecujący chiński deklamator uczył się poprostu na pamięć całej gazety, aby ją potem recytować przed chciwym wiadomości tłumem. Słowem, tuzin egzemplarzy wystarczał zupełnie na powiadomienie 5000 zmyślnych synów niebieskiego państwa o wszystkiem, co ich mogło bezpośrednio interesować.

Ale dziennik zaczął już robić bokami i byłby na pewne runął, grzebiąc dumne marzenia swego wydawcy, gdyby nie genialny pomysł „New-York Heralda“, któremu zachciało się drukować codziennie kilka szpalt po chińsku. Redaktor tego potwornego rozmiarami dziennika zawezwał przed swoje oblicze pana Lingarda (tak się zwał ów niefortunny wydawca) i w zręcznem *interwiew* wyciągnął zeń nazwisko owego chińskiego młodziana, który tak dzielnie redagował telegramy wojenne. I podczas gdy Lingard opuszczał pałac „Heralda“ jedną bramą, z drugiej wyjeżdżał już redakcyjny automobil, wysłany po chińczyka, któremu za przybyciem obiecano sto dolarów tygodniowo w zamian za redagowanie „chińskiej części Heralda“. Chińczyk był wszakże wyjątkowo uczciwy i natychmiast opowiedział Lingardowi o tem, co się stało, a niefortunny wydawca odwzajemnił się żółtemu redaktorowi opowiedzeniem kawału, jaki jemu, t. j. Lingardowi, urządził redaktor o białej skórze.

— „Więc to są wasi chrześcijańscy redaktorzy? — skrzywił się młody adept chińskiego dziennikarstwa. — Nikt z nas by takiego paskudzwa się nie dopuścił. Ale mniejsza o to! Skoro tamten postępuje nieuczciwie, słusznem jest, aby z rąk naszych poniósł zasłużoną karę“.

I przyjął ofertę „Heralda“, nie porzucając wszakże dotychczasowej swojej redakcyi.

W kilka dni później ukazała się w „Heraldzie“ pierwsza kolumna chińskich wykrętasów. Łatwo zrozumieć, że redaktorzy „Heralda“ pęcznieli w oczach z dumy i zadowolenia, a każdy dziennik amerykański miał sobie za punkt honoru zamieścić kopię tej słynnej kolumny. Ale, rzecz niepojęta, habitués chińskiej dzielnicy zrobili wkrótce nader ciekawe spostrzeżenie, iż lektura tego dodatku wprawiała chińczyków w złoty humor. Zamiast płakać nad upadkiem Pekinu, śmieli się z całego serca, mrugając przytem skośnymi oczkami, czemu nikt wtajemniczony zresztą się nie dziwił, gdyż owe „telegramy wojenne“ „Heralda“ brzmiały w ten sposób:

„Piszący te słowa, zasyła serdeczne pozdrowienie każdemu bratu chińskiemu, w którego ręce one się dostaną, i wzywa dlań błogosławieństwa dziewięćdziesięciu siedmiu bogów. Gdyby jakiś syn którego z psów chrześcijańskich zapytał go, co tutaj chiński pisarz napisał dla zachodniego dyabła Benneta, niech mu powie, że to jest doniesienie o srogiej rzezi między Chińczykami i Japończykami, o rabowaniu miast i wielkiem mordowaniu. Mówcie co chcecie, ale jedynie w tym duchu. Jeśliby zaś kto z chińskich braci łaknął wiadomości o tem, co się naprawdę działo i dzieje w Chinach, niech zaprenumeruje sobie jedyną chińską i przez chińczyków wydawaną gazetę, która wychodzi przy Peel-street Nr. 27. Ta oto płachta jest pisana przez niegodnych psów chrześcijańskich i należy do białego dyabła. Szanujący się chińczyk nie powinien nawet pluć na ten świstek“. „Herald“ wysłał cały legion reporterów celem interwiewowania Chińczyków co do wartości swego dodatku. Każdy z badanych synów wielkiego smoka przeczytawszy wręczony sobie dziennik z wielkiem ukontentowaniem, odpowiadał mniejwięcej w ten sposób:

„Doskonała gazeta. Chińczyk i Japończyk bija się bardzo ze sobą. Strasznie się biją. Smutne, bardzo smutne!“.

Dopiero po kilku tygodniach dowiedziała się redakcya „Heralda“ o tem, że jej dziennik ogłaszał codziennie taką bezpłatną reklamę dla konkurenta... Kieszeń Lingarda wyszła na tym figlu doskonale, lecz właściciel „Heralda“ Mr. Bennett, który bawi obecnie w Paryżu, miał podobno nader kwaśną minę gdy mu depesze doniosły o tem co zaszło...

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Vienac, tygodnik chorwacki, wychodzący w Zagrzebiu, od d. 1-go lipca nakładem Maticy chorwackiej pod redakcyą profesora Jerzego Arnolda, bardzo zajmuje się literaturą polską.

W Nrze 38 w feljetonie znajdujemy krótką, ale chlubną krytykę powieści Teodora Jeske-Choińskiego „Tjara i korona“. W Nr. 39 i następnych ciągnie się osobny artykuł p. t.: „Idealista polski“ o książce prof. M. Zdziechowskiego p. t. „Szkice literackie“, a w feljetonie Nr. 40 jest mowa o filozofii polskiej, a mianowicie o W. M. Kozłowskim i H. Struve oraz o pogłoskach co do przyszłych zamiarów Sienkiewicza.

W Nr. 41 rozpoczyna się przekład noweli K. Tetmajera p. t. „Ksiądz Piotr“ (tłóm. Józef Matica), w feljetonie zaś jest mowa o W. S. Reymoncie i najnowszym dramacie B. Grabowskiego „Prorokini“, osnutym na tle wojny 30-letniej (bohaterką jest Krystyna Poniatowska, wizjonerka z owych czasów, mieszkająca w Czechach, a potem w Lesznie polskiem). Według słów feljetonisty, „dramat odznacza się polotem poetyckim“.

* 500-na rocznica śmierci Chaucera była obchodzoną uroczyście w całej Anglii w dniu 25-ym z. m. Chaucer, urodzony w r. 1340, był pierwszym, którego zwłoki spoczęły w opactwie Westminsterskim; pierwszym też był, który wyzwolił się z łaciny i francuzczyzny, wprowadzonej do Anglii od czasu podboju Normanów. Pisał opowiadania rubaszne, lecz skreślone z wielką werwą i talentem. Jego „Opowieści Canterburskie“ są jednem z arcydzieł literatury wszechświatowej. Cztery tomy utworów Chaucera ukazały się drukiem w roku 1500, w pierwszej drukarni angielskiej Caxtona. Od lat wielu istnieje w Anglii Towarzystwo Chaucera, w rodzaju Szekspirowskiego, którego zadaniem jest wydawać jego dzieła w tekście nieskażonym.

* W Warszawie wyszło wielkie, niezwykle ozdobne dzieło Zygmunta Glogera p. t. „Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni“.

Autor w przedmowie tak określa zadanie swej pracy. „Z dniem każdym stary świat schodzi do grobu. Co żyło i uświęcone było przez liczne wieki, idzie zwolna w zapomnienie, bo dzień dzisiejszy ma przedewszystkiem twardą pracę na dłoni namulonej, rachubę w głowie i na sercu, troskę o chleb. Tradycye w walce z kosmopolityzmem opadają na dno społeczeństwa, ku jego podstawom, tuląc się u ogniska wielkich dworków i strzech wieśniaczych. Ludzie wystudzeni wszechświatowością, zatracają obyczaj rodzinny i są jak owe śmiecie, którym wszystko jedno do jakiego kąta zamiecione będą. Ale ilekroć serce ostygły zapragnie poezyi, ilekroć duch podnioślejszy poczuje się łącznikiem przeszłości z przyszłością, wiecznie sięgać będzie do tej krynicy życia, do tego niewygasłego nigdy zarzewia w starej nawie pamiątek“.

Autor więc pragnąc utrzymać to „zarzewie w starej nawie pamiątek“ opisuje nam różne zwyczaje i obyczaje, praktykowane u nas w ciągu roku. Opis ten zaczyna od adwentu i kolejno przez cały rok zajmuje się różnemi objawami dawnej obyczajności krajowej. Oprócz prac własnych, przytacza liczne wyjątki z innych pisarzów i poetów, dające poznać wybitniejsze chwile życia dorocznego.

Książka w ogólności jest bardzo interesująca, umiejętnie i z wielką miłością przedmiotu ułożona. Około czterdziestu rycin, przeważnie nieodżałowanego Andriollego przyozdabia tę wielką pracę, wydaną bardzo starannie i wykwintnie w Krakowie.

* Pod tytułem „Szkice z pamięci“ p. Kazimierz Witte wydał szereg obrazków, zawierających „garść wspomnień i trochę obserwacyj z życia“, jak powiada autor w krótkiej przemowie, poświęcając swą pracę „tej, co mi we wspólnem pożyciu zawsze tylko dobre myśli natchnęła“. Najlepsza z tych nowel jest nosząca tytuł „Pierwsze dziecko“.

* W Wilnie wyszła powiastka, przeznaczona dla szerszych warstw ludności p. t. „Wojciech Kłos, historya pożytecznego człowieka“, skreślona przez p. Jadwigę Szczawińską. Książeczka ta, zawierająca 110 stronic druku, mocno oprawiona, kosztuje tylko 10 kopiejek.

* W Łodzi wyszła niewielka broszurka napisana przez H. Orszę p. t. „Teofil Lenartowicz, lirnik mazowiecki i jego pieśni“. Jest to życiorys poety, oraz liczne wyjątki z jego prac. Książeczka przyozdobiona jest portretem Lenartowicza.

TEATR I MUZYKA.

* Spuścizna po Janie Brahms'ie zastała nareszcie uregulowana sądownie. Wiedeński najwyższy sąd krajowy orzekł, iż towarzystwo przyjaciół muzyki w Wiedniu, towarzystwo muzyczne „Czerny“ w Wiedniu, oraz stowarzyszenie hamburskie „Liszt“, na zasadzie listu, znalezionego w papierach po zmarłym kompozytorze pozostałych, mają otrzymać majątek Brahms'a w sumie 210,000 złr., do którego roszczą pretensye. Krewni zmarłego muzyka, w liczbie 21, nie chcieli uznać testamentowego charakteru listu i ztąd wynikł proces.

* Pomnik panny Henriot, młodej artyski, która podczas pożaru Komedyi Francuskiej zginęła w płomieniach, wzniesiony będzie na cmentarzu w Passy. Nagrobek składa się z popiersia marmurowego zmarłej na cokole granitowym, na którym widnieje napis: „Przyszła, uśmiechnęła się i znikła. 1878—1900“. Nieco niżej umieszczone są maski tragedyi i komedyi, oraz wyrazy: „Komedya Francuska Janinie Henriot“.

* Artysta malarz p. Wojciech Kossak, powrócił w tych dniach do Berlina z artystycznej podróży do Egiptu. Owocem tej wycieczki będzie olbrzymia panorama, odtwarzająca bitwę pod „Piramidami“, między wojskiem francuskiem a mamelukami. Krajobraz tworzący tło panoramy, wykonać ma towarzyszący w podróży do Egitptu Kossakowi malarz Wiewiórski. Panorama najpierw wystawioną będzie w Warszawie.

* Nowy akademik. Paryska akademia sztuk pięknych na ostatniem posiedzeniu obrała na miejsce zmarłego malarza Volon'a członkiem swoim artystę malarza Dagnan-Bouveret'a.

* Pani Adela Strauss, wdowa po słynnym królu walców postanowiła ogłosić drukiem korespondencyę swojego męża, z wyłączeniem czysto osobistej. Strauss prowadził ożywioną wymianę listów z Rubins einem, Brahmsem, Jokajem, oraz innemi osobistościami wybitnemi.

Zawracać głowę ogłupiałym chłopom.
Czyliż się oprze malkontentów wola,
Potędze słowa jak i parasola?
Chciałbym dać o nim Wam pojęcie słabe:
Tu —ma kazanie, tam — zaprasza na wiec,
Tu — ołgał chłopa, tam — przekonał babę,
Skarży go drukarz, sekwestruje krawiec,
Nic to... w wsi innej, niepomny swej klęski,
Znowu potrząsa parasol zwycięski.
Nierównie gorszą jest czerwona zgraja.
Która na ustach z ohydną swą pieśnią,
Zatruwa serca i umysł rozstraja
I plwa na groby pokryte już pleśnią,
A której credo zebrane pokrótce,
Brzmi: kościół w karczmie, a sakrament
[w wódce.
Więc gdy wścieklizna tę bandę ogarnie,
Gdy spasły buldog i kundel wychudły,
Na żer powiodą żarłoczną swą psiarnię,
I zaczną wzajem rwać na sobie kudły,
Wtedy cię weźmie jakiś żal do świata,
Że nie wymyślił na nich nic, prócz — bata!
Jeśli ci w drogę zajdzie taki rywal,
To go po cichu zaproś gdzie do kąta,
Weź kij bukowy i po grzbiecie wywal,
Aby raz wiedział, co chce „kurya piąta“,
Bo nadaremne jest z nim brać się do słów;
Lepiej klasyczną dać „odprawę posłów“,
Ja — polityki nie będąc tak świadom,
(Bo i któż z nimi iść o lepsze śmiałby?)
Proszę dać jednak posłuch moim radom:
Wodźcie się wszyscy aż do skutku za łby,
A gdy łajdaki wyduszą łajdaków,
Może spokojnie odetchnie raz Kraków!...

Amaris.

Z wojny chińskiej.



Poselstwo amerykańskie spalone przez hordy czerwonego kułaka.

Listy z linii A-B.

II.

O! Matko Polsko! Gdyby ci rodacy,
Zamiast mandatu z piątej kuryi posła,
Jęli się do taczek, łopaty lub gracy,
Lub praktycznego innego rzemiosła.
Zaoszczędziliby ci zapaleni
I guzów na łbie — i centów w kieszeni.
Lecz wstręt uczuto do kielni i szydła,
Rdzewieje piła i próżnuje hebel,
Niejeden poczuł u swych ramion skrzydła,
Co go wznieść mają wyżej jeden szczebel.
I każdy myśli w zuchwałym rozpędzie:
„I ja być mogę — tam, gdzie inny będzie!“
Wyborco silnej krtani jak i ręki!
Usłysz ten rozgłos bojowej pobudki!
Nastrój swe gardło — lecz nie do piosenki,
Nastrój swe gardło — do piwa i wódki!
Gromadź więc połcie i szykuj butelki,
Dzielny Bardelu i wielki Dobijo!
A miej to sobie za znak łaski wielkiej,
Gdy cię gdzie w kącie jeszcze nie ubiją...
Poznasz dobitnie „zapatrywań przedział“.
„Głupi niedźwiedziu“, coś w domu nie sie-
[dział!
Chcesz wejść do Rady państwa albo Sejmu
Karm tłum kiełbasą i wciąż w gardło lej mu!
Ty zaś Szaflaro zgromadzenie zwołaj
Skarż się na ciężar podatków i danin —
Zjawi się z pałką plugawy Mikołaj,
Jako wyklęty ów tułacz — Mieszczanin,
Który wśród różnych kół i małych kółek,
Próżno kołata o głos i przytułek.
Już oto ciągną z walki niedobitki,
(Szkoda, że wszystkich Muza nie wylicza)
Powrócił Węgrzyn przeklinając żydki,
Brak Daszyńskiego, brak Kozakiewicza,
Co swą opinię zszargawszy na nice,
Jedzie tumanić głupców w Ameryce.
Nowe figury wyjdą na teater,
Nowym się jeszcze napatrzymy szopom,
Wyjdzie na scenę Stojałowski — pater,

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“.

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}|_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.*

Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**